

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Helena Zawistowska

Żelazna wieża

Opowieść baśniowa

1993

Rozdział pierwszy

Bezimienny

Za miastem, u podnóża gór, z dala od wszelkich dróg mieszkały samotnie w małym domku dwie siostry: Kornelia i Oktawia. Nie były już pierwszej młodości, nie miały mężów, ale dobrze im się żyło razem mając podobne usposobienia i charaktery. Spokojne, dobrotliwe, opiekowały się biedakami na przedmieściach miasta, niosły pomoc chorym, uczyły dzieci. Przeto cieszyły się szacunkiem i miłością ludzi.

Nie ubiegały się o nic więcej. Trzeba dodać, iż same się utrzymywały uprawiając swój duży ogród, co zadziwiało wszystkich niezmiernie, gdyż powszechnie wiadano, że należały do rodziny królewskiej. Były mianowicie siostrami władcy tego kraju, Mirona. Ale gardziły dobrami i nie lubiły dworskiego życia, ani zaszczytów, jakie mogłyby odbierać żyjąc w pałacu.

Dobrze się czuły wśród bujnej przyrody obcując z prostymi ludźmi. Ale nie zerwały całkiem z rodziną i czasem odwiedzały pałac. Król jednak nie mógł wybaczyć swym siostrom tak jawnego zlekceważenia ich pozycji i uważając, że przynoszą ujmę jemu, jako władcy, ciągle je upominał. Siostry nie przejmowały się tym wcale a wcale, ale częściej niż do grodu wyprawały się w góry, nieraz na parę dni nawet.

Lubiły te dzikie, niebezpieczne, a przecież tak piękne okolice. Więc wędrowały całe dni, bo i tam miały swoją przystań. Na wysokogórskiej hali mieszkał pasterz Mateusz ze swoją żoną o imieniu Marcela. Nad wyraz dobrzy to byli ludzie i wierni zacnych dam przyjaciele. Tam właśnie, w tej góralskiej chacie zatrzymywały się siostry, a nieraz i nocowały, podejmowane z radością i szacunkiem wielkim przez gospodarzy. Z pewnością nie zdarzało się dotąd zbyt często, aby ktoś z rodziny królewskiej wolał odwiedzić wiejską chatę, niż pałac. Ale te niezwykle obyczajne dzielnych sióstr miały swoje dalsze, bardzo, bardzo poważne następstwa.

Otóż pewnego poranka Kornelia rzekła do siostry:

– Oktawio, pogoda jest tak piękna, że trudno usiedzieć na miejscu. Wybierzmy się w góry.

– Z wielką chęcią – odparła Oktawia – tym bardziej, że już dawno nie odwiedzałyśmy Mateusza i Marceli. Dowiemy się, co tam u nich słychać nowego.

Siostry nie namyślając się długo włożyły odpowiednie do wędrowki buty i ruszyły na górskie szlaki. Jak zawsze zbierały po drodze zioła i jagody, za-



chwycaly się pięknymi krajobrazami i nie spostrzegły, jak minęło południe, a potem i pora przedwieczorna. Wraz z nią zmieniała się pogoda. Zawirowało powietrze, ściemniło się, błysnęło, gdzieś w chmurach zamruczał grzmot, a potem lunął deszcz. Siostry, chcąc ująć burzy zagłębiły się w gęsty las. Lecz listowie nie schroniło ich przed ulewą i wichrem, który targnął konarami, aż zaskrzypiały stare drzewa.

Kobiety przycupnęły w jakimś wykrocie, a tymczasem błyskawice poczęły raz po raz przecinać wzburzone pędzącymi chmurami niebo, grzmoty zdały się bić coraz bliżej. Burza rozszalała się na dobre. Wtem nastąpił olśniewający błysk i w tej samej chwili piorun z trzaskiem powalił drzewo tuż przed wylękłymi siostrami. A jednak miały one na tyle przytomności umysłu, aby w tym chwilkę trwającym blasku dostrzec jakiś biały przedmiot leżący pod nawisłym krzakiem.

Burza się przewaliła, wkrótce do ciemnego boru zajrzały promienie zachodzącego słońca, ale owa rzecz, która przyciągnęła uwagę siostr, była teraz przykryta listowiem powalonego drzewa. Wiele trudu kosztowało, by rozgarnawszy gałęzie znaleźć... Obie kobiety krzyknęły ze zdumienia. Ujrzały jakieś jakby pudło, a w nim zwoje płótna, spod których wystawały... o zgrozo!... maleńkie nóżki, należące niewątpliwie do niemowlęcia.

– Porzucone dziecię! Nie żyje!! – krzyknęła Kornelia.

Ale nóżki się poruszyły, choć niemowlę zziębnięte, mokre i zapewne głodne, było istotnie bliskie śmierci. Oktawia nie zastanawiając się dłużej owinęła chustą cały tłumok.

– Do Mateusza!! – zawołała. – Prędeż!

Jakoż nogi same poniosły niewiasty, które przynaglała troska o los dziecka.

– Oby wyżyło – mówiła po drodze, ciężko dysząc, Kornelia – weźmiemy je do siebie. Och, co za radość! Będziemy miały małą, śliczną córeczkę.

– Lub synka – wtrąciła Oktawia.

– Lub synka. Zaopiekujemy się nim, wykształcimy. Czuję, że już zacznę go kochać. Będzie miał dwie mamy nasz synek.

– Lub córeczka – wtrąciła znów Oktawia.

– Lub córeczka. Tak się cieszę, a ty, Oktawio?

– Ależ oczywiście, i ja jestem szczęśliwa. Rozpocznemy całkiem nowe życie!

Był już wieczór, gdy dotarły wreszcie do pasterskiej chaty. Marcela i Mateusz wybiegli witać miłych gości.

– Zobaczcie, co znalazłyśmy! – wołała z daleka Kornelia.

– Trzeba zaraz nakarmić i ogrzać niemowlę – mówiła pospiesznie Oktawia.

W izbie warzyła się już wieczerza, toteż miłe ciepło owionęło zziębnięte na deszczu siostry.

Oktawia złożyła na stole swój ciężar, wyjęła dziecko, a pozostali stanęli wokół patrząc ciekawie. Kornelia drżała z niecierpliwości, podczas gdy jej

siostra poczęła odwijać prześcieradło. Aż dziw, że dziecko nie udusiło się pod zwojami mokrego płótna. Najpierw spostrzeżono, iż był to chłopczyk, a gdy odsłoniła się główka... czworo ludzi wydało jednocześnie gromki okrzyk. Każdy myślał, że go wzrok zawodzi, jednak wszyscy widzieli to samo...

Nie, to przechodziło wszelkie ludzkie wyobrażenie! Ogarnęło ich nie tylko przeogromne zdumienie, ale i strach przed czymś tak niesamowitym, jak twarzyczka tego maleńkiego chłopczyka. Marcela w pierwszym odruchu przykryła ją chustką. Wtedy dziecię zakwiliło, zapłakało i machnęło rączkami i nóżkami. Pierwsza opamiętała się Oktawia.

– Mleka! – zawołała – Daj też Marcelo czystą szmatkę, nasącz ją mlekiem, musimy jakoś nakarmić to biedactwo.

Kornelia cicho płakała, Mateusz stał nadal nieporuszony patrząc w osłupieniu na dzieciątko. Marcela chwyciła dzbanek z mlekiem, który natychmiast wypadł z jej trzęsących się rąk i z trzaskiem rozbił na kawałki. Wreszcie znalazła się szmatka i nowa porcja ciepłego mleka. Był to dobry sposób. Malec długo ssał, a gdy się nasycił, niespodziewanie uśmiechnął się marszcząc ładny nosek.

Teraz i Oktawia się załamała. Chwyciła maleństwo w objęcia tuląc je i całując.

– Maleńki – szepnęła – jakże ciężkie będzie tve życie. Ludzie cię nie przyjmą, zabiją, lub wygnają, ach, będziesz się musiał tułać po świecie... Nie! – wykrzyknęła raptem – ochronimy cię! – i w tej właśnie chwili uczuła, że pokochała gorąco tę dziwną, bezbronną istotkę na całe życie.

A tymczasem istotka rozgrzana i ukołysana zasnęła słodko zamykając swe śliczne, jedyne oczko. Tak, jedyne, bowiem był to cyklop, maleńki cyklopiak z błękitnym okiem umieszczonym pośrodku czoła. Jasne, kędzierzawe włoski opadały przykrywając ciemną brew, a miejsce, w którym musiałyby być oczy pokrywała tak, jak całą buzię, delikatna, różowa skóra.

Minęło już pierwsze, tak ogromne zaskoczenie i przerażenie i nie tylko obie zacie siostry, ale też Mateusz i Marcela rozzalili się nad niedolą dzieciątka. Wszyscy dobrze wiedzieli, iż niepodobna wychowywać go wśród innych dzieci, nawet nie można było ujawnić jego istnienia! Ludzie nie znosili odmieńców, a cóż dopiero mówić o cyklopie! Pamiętano jeszcze legendę o jednookich olbrzymach żyjących na pewnej wyspie, którzy budzili strach w ludziach, bowiem byli okrutni i wykuwali pioruny. Wprawdzie przed tysiącami lat wszyscy cyklopi zginęli, ale czy ludzie uwierzą, że ten nowo przybyły na świat niczym im nie zagraża?

Cóż winne jest to dzieciątko, że się właśnie takie urodziło, wszak znane są różne kaprysy natury, więc trzeba pomóc mu przeżyć i zrobić z niego dobrego człowieka. Tak tłumaczyły mądre siostry, a Marcela i Mateusz wierzyli zawsze każdemu ich słowu. Tak i teraz od razu przystali na to, by malec pozostał w ich chacie, do której nikt obcy prawie nigdy nie zaglądał.

– Będziemy tu przychodzić tak często, jak tylko się da – mówiła Oktawia



– i wspólnie wychowamy to dziecię. A gdy podrośnie zastanowimy się co dalej. To nic, że nie wiemy skąd się ono wzięło i kim są jego rodzice – źli rodzice, skoro skazali na śmierć swego synka – my będziemy dla niego najczulszą rodziną.

– Tak, słusznie mówisz, pani Oktawio, tak będzie – odezwał się Mateusz, który zabierał głos tylko w ważnych sprawach – A jakież damy mu imię?

– Prawda! – wykrzyknęła Kornelia. – Nie wiemy, jak go matka nazwała.

– Widziałam na płótnie jakoweś znaki, ale nie rozumiem co to jest – powiedziała Marcela.

– Pokaż! – zerwała się z ławy Oktawia.

Marcela przyniosła prześcieradło i rozpostarła je na stole. Istotnie, w rogu widniały nieporadnie, jakby pospiesznie wyhaftowane słowa: “Wyzuty z godności, pozbawion imienia”.

– A więc bezimienny! – stwierdziła Kornelia. – My sami musimy nadać mu imię.

Zapadło milczenie, a potem zaczęły padać najrozmaitsze imiona, z których jednak żadne nie wydawało się pasować do cyklopa. Wreszcie wstała Oktawia i powiedziała:

– Proponuję “Belizariusz”. Imię to brzmi poważnie i będzie budziło szacunek.

– Prawda, pani Oktawio – zawyrokował Mateusz.

Wszyscy się zgodzili tak oto porzucony sierota otrzymał imię i uzyskał trzy matki oraz jednego ojca.

Belizariusz zdrowy i wesoły rósł sobie spokojnie i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie obcy ludzie. Bywało i przedtem, że podróżnik jakiś zbłądziwszy w górach szukał u Mateusza schronienia, jednak tego lata zdarzało się to częściej niż kiedyś. W takich wypadkach Marcela chowała dziecko w bocznej izdebce.

Ale zdarzyło się pewnego razu, że Mateusz, widząc jakiegoś mężczyznę wspinającego się po stromiźnie zaniósł w pośpiechu malca do drewni i umieścił go w tym samym pudle, w którym przyniesiono go do ich domu. Była to skrzynka drewniana z żelaznymi okuciami na narożach, do połowy wypełniona miękkimi wiórki, którymi Belizariusz bawił się zadowolony, póki obcy nie opuścił zagrody. Odtąd w razie potrzeby, w ten właśnie sposób go ukrywano.

Ale czas mijał, dziecię rosło i Mateusz zamierzał sporządzić mu nową, większą kryjówkę. Zanim jednak zabrał się do dzieła, wydało mu się, że ta maleńka skrzyneczka, dobra dla niemowlęcia, jest teraz znacznie obszerniejsza. Zdumiony, nie dowierzając swym oczom, postanowił poczekać. Ale to nie było złudzenie, bo po pewnym czasie przekonał się, że dzieje się coś zadziwiającego, co wprawiło go w zdumienie i niepokój.

Oto skrzynka stawała się coraz większa tak, jakby rosła razem z Belizariuszem! I co dziwniejsza, stawała się żelazna, gdyż małe początkowo narożne



okucia rozszerzały się bardziej niż drewniane ścianki. Skrzynka była bez wieka, ale jedna ściana miała zawiasy, więc stanowiła chyba drzwiczki, jednak zamknięte na klucz nie dawały się otworzyć.

Obie siostry i Marcela były nie mniej zdumione i przerażone. Wstrząśnięci debatowali we czworo dzień cały nad tym niesamowitym zjawiskiem, dochodząc przyczyny, której nie podobna było dociec. Musieli się więc pogodzić z istnieniem jakiejś niezgłębionej tajemnicy towarzyszącej temu dziwnemu, a tak przez nich kochanemu dziecku.

Mijały lata. Belizariusz był miłym, dobrym chłopcem, żył szczęśliwie i beztrosko. Jedyne co zakłócało jego poczucie porządku, to zdumiewający fakt, że rodzice i dobre cioteczki (jak nazywał siostry królewskie) mieli dwoje oczu; myślał, że jest to co najmniej dziwne i całkiem niepotrzebne.

A potem Oktawia i Kornelia zajęły się jego edukacją, on zaś w lot przyjmował ich nauki. Wtedy też dowiedział się prawdy o sobie i poznał powód, dla którego musi chować się przed ludźmi obcymi. Więc uciekał w razie potrzeby do swej kryjówki, która wiernie rosła razem z nim, aż przekształciła się w żelazną wieżę. Już wcześniej, nim mogła zagrozić dachowi drewnutni, Mateusz przeniósł ją do niedalekiego wąwozu i ukrył wśród gęstych zarośli i wysokich drzew. Sporządził też dach i dopasował drzwi, a Marcela urządziła wygodnie wewnątrz.

Gdy Belizariusz dorósł wieża stała się dla niego drugim domem. Oto skończył dwadzieścia lat. Wyrósł na pięknego młodzieńca, wzrostem przewyższał Mateusza, usposobienie miał łagodne, był rozumny i czule kochał rodziców i cioteczki, choć wiedział już, że jest synem przybranym. Pomagał we wszelkich pracach ojcu i wystrzegał się pilnie spotkania z ludźmi.

Aliści tajemnicy jego istnienia, mimo wszystkich ostrożności, nie dało się dłużej utrzymać. Ktoś go jednak wypatrzył na hali i zaraz rozeszła się wieść o strasznym, olbrzymim cyklopie siedzącym gdzieś w górach. Co gorsza, zdarzyło się tego roku, iż kilka wsi spłonęło podczas letnich burz.

– To wina cyklopa! – krzyczano. – To jego pioruny! Zabić cyklopa!!

Król Miron, gdy doszły do niego te wieści, zwołał naradę. Większość jego dworu opowiedziała się za spełnieniem woli ludu dla uśmierzenia wzburzenia, inni domagali się sądu. Przerażone siostry postanowiły wyjawić bratu całą prawdę od początku do końca. Rozsierdził się wielce król na siostry swoje, iż tak długo w niewiedzy go trzymały. Ale, że był mądry i sam nie wierzył w wykuwanie piorunów, dał wiarę opowieści Kornelii i Oktawii. Nie pozwolił na zabicie niewinnego, lecz skazał go na wygnanie: Belizariusz musiał opuścić kraj na zawsze.

Wielki smutek zapanował w chacie Mateusza, ale cóż było robić!

– On zginie wśród obcych – biadolili Marcela zalewając się łzami. Wszędzie będą go prześladować, a może i zabiją!

– Ach, synku, ach, synku – szeptała Kornelia.

– Głupi, źli ludzie – sarknęła Oktawia.

– Nieszczęście, nieszczęście – mrucał Mateusz zaciskając pięści.

A Belizariusz pocieszał całą rodzinę, jakby nieszczęście nie dotyczyło jego samego. Pierwsza uspokoiła się Oktawia.

– On jest dobry, rozumny i rozważny – powiedziała ocierając oczy. – Wierzmy, że poradzi sobie. Wróc Belizariuszu za rok, potajemnie, może coś się zmieni.

Słowa te podniosły wszystkich na duchu. Cyklop uśmiechnął się, choć serce miał ściśnięte i smutek w duszy.

Nadszedł dzień rozstania. Od cioteczek dostał Belizariusz trochę zaoszczędzonych pieniędzy, a od Marceli i Mateusza sakwę ze skromną wyprawą.

– Żegnaj, maleńki – powiedziała Kornelia wspinając się na palce, by dotknąć twarzy olbrzyma. A on ukląkł i uściskali się wzajem. Potem poszedł.

Rozdział drugi

Na wygnaniu

Po drugiej stronie gór rozciągało się już obce królestwo. Belizariusz schodząc w doliny z niepokojem oczekiwał spotkania z ludźmi. Okolica była pusta, ale pod wieczór usłyszał dochodzący z oddali dźwięczny huk młotów, który, jak się niebawem okazało, pochodził z kuźni stojącej na skraju wsi. Belizariusz stanął w progu i gdy hałas ucichł, odezwał się:

– Może potrzebujecie, gospodarzu, pomocnika? Mogę wykonywać najcięższą robotę, silny jestem i zdrow. Nazywam się Belizariusz.

– A, potrzebuję – odparł kowal odwracając się. – Zaraz, zaraz! – krzyknął i zaświecił łuczywem w twarz przybysza.

Stanął oniemiały ze zdumienia, podczas gdy chłopiec od miechów z krzykiem rzucił się do ucieczki.

– Nie bójcie się, kowalu – powiedział Belizariusz. – Taki już się urodziłem, ale to, że mam tylko jedno oko nie znaczy, że jestem zły. Widzicie, muszę pracować by żyć. Będę robił wszystko, co rozkażecie.

– Wierzę ci i mógłbyś tu pracować – rzekł kowal. – Ale ludzie...

Otóż to. Ludzie już dali znać o sobie. Nadbiegli wrzeszcząc od strony wsi i otoczyli cyklopa. Belizariusz stał bezradnie uśmiechając się i rozkładając ręce na znak, że nie ma złych zamiarów. Cóż z tego! Posypały się wyzwiska, a wraz z nimi i kamienie. Poczciwy kowal wyjąkał coś na obronę cyklopa, ale ten podziękował mu tylko uśmiechem i odszedł w mrok nadciągającej nocy.

Podobnie było wszędzie, gdzie się pojawił. Aż nastąpiło najgorsze: król tej krainy, Mariusz, dowiedziawszy się, że po jego kraju wędruje potworny cyklop, kazał go schwytać i uwięzić. Zaraz znaleźli się fałszywi oskarżyciele pomawiający Belizariusza o jakieś zbrodnie. Odbył się więc nad nim sąd, a choć nie było wiarygodnych świadectw jego przestępstw, skazano biedaka, już za sam wygląd, na dożywotnie więzienie. Belizariusz, rzucony do lochu, nie rozpaczał, pomyślał, że tak widocznie musi być, że taki jest jego los i lepiej niczego się już w życiu nie spodziewać.

Aliści po dziewięciu dniach strażnik więzienny otworzył przed nim kratę.

– Polecono mi, abym doprowadził cię, panie, przed oblicze naszego króla i władcy – powiedział. – Więc pójdźmy.

Choć nazwanie go “panem” było zdumiewające, Belizariusz nie zastanowił się nad tym. Zrozumiał tylko tyle, że wzywa go król, więc poszedł za



strażnikiem obojętny i zrezygnowany. Jednak poczuł się onieśmielony, gdy stanął przed władcą siedzącym na ogromnym tronie wśród królewskiego przepychu. A król przyjrzał mu się i spytał:

– Kto za tobą stoi?

Belizariusz odwrócił się – nikogo nie było.

– Nikt – odpowiedział.

Król wybuchnął śmiechem.

– Żartowniś jesteś! – zawołał. – Pytam o tego wielmożę, który wstawił się za tobą. Czemuś od razu nie powiedział jego imienia, nie siedziałbyś w lochu.

– Nie rozumiem, panie... – bąknął Belizariusz zdumiony słowami króla.

– Dobrze, dobrze – przerwał król – możesz nie mówić, jeśli nie chcesz. Mnie wystarczy sam fakt, że masz bogatego przyjaciela. Oto jak mi zapłacił za twoje uwolnienie – tu potrząsnął sporym mieszkiem. – Same złote dukaty!

– Kto? Kto to był? – wyjąkał Belizariusz, całkiem oszołomiony.

– To raczej ty mógłbyś powiedzieć – kto, bo mnie nie raczył się przedstawić. Powiem ci: przyszedł tu jakiś nędzny oberwaniec powiadamiając, iż spotkał na drodze wielkiego pana jadącego złotą kareta. Pan ów kazał mu, pod groźbą kary, wręczyć mi to – tu znów podrzucił mieszek – za ciebie. Więc idź już sprzed moich oczu i staraj się opuścić nasze królestwo.

– Dobrze, postaram się – odparł Belizariusz.

Bezwiednie uklonił się i skierował ku wyjściu. Jak we śnie szedł przez pałacowe sale i krużganki, a strażę go nie zatrzymywały, dworzanie rozstępowali się przed nim, paziowie kłaniali mu się nisko. A gdy opuścił dziedziniec pałacowy, halabardnik przeprowadził go bezpiecznie do bram grodu.

– Tak, chyba śnię – mówił do siebie Belizariusz maszerując białą drogą pośród zielonego lasu.

Dopiero gdy wieczorem poczuł zmęczenie i senność, zrozumiał, że skoro chce spać, to dotąd nie spał, i że to zadziwiające wydarzenie było całkiem rzeczywiste, a on jest wolny i do tego ma jakiegoś tajemniczego sprzymierzeńca.

Na drugi dzień opuścił nieprzyjazny mu kraj. Ale cóż z tego! Belizariusz wiedział, że ludzie wszędzie są tacy sami tu, czy tam, i że znów będzie prześladowany. Ale stało się inaczej.

Oto, gdy szedł pylnym traktem ujrzał przed sobą chmurę kurzu, która szybko się zbliżała, aż wyłonił się z niej oddział konny. Na wspaniałym rumaku jechał bogato i strojnie odziany młody książę w otoczeniu świty. Belizariusz schował się za krzakiem, lecz bystre oko jednego z jeźdźców wypatrzyło go i wnet wyciągnięto biedaka na drogę, a wszyscy wlepili weń ze zdumieniem oczu. Wtem możny pan zakrzyknął:

– Cyklop! Ależ to cudowne!! Nie, to wprost nie do wiary! Czy jesteś potomkiem cyklopów sprzed czterech tysięcy lat?

– Chyba nie... – odparł niepewnie Belizariusz.



– Ach, opowiesz mi później, zabieram cię do zamku. Dać mu konia!

I oto wjeżdżał Belizariusz do grodu na rosnym rumaku górując nad innymi jeźdźcami. Mrużył oko przed czerwonym blaskiem zachodzącego słońca i uśmiechał się, szczęśliwy, że znalazł przyjaciół. Ludziska otwierali ze zdumienia usta, patrzyli na niego ze zgrozą, niektórzy uciekali, ale nikt nie śmiał go napastować.

Zaczęły się teraz dla Belizariusza radosne dni. Całe otoczenie księcia okazywało mu przyjaźń i zainteresowanie. Musiał opowiedzieć księciu Adriano-
wi o swym dotychczasowym życiu. Władca był nieco zawiedziony, iż właściwie nie wyjaśniło się pochodzenie prawdziwego cyklopa, którego obraz panował dotąd tylko w legendzie i mitach. Ale nie umniejszyło to jego przychylności dla jednookiego. Po jakimś czasie Belizariusz, nie nawykły do próżniaczego życia, oświadczył księciu, że chce pracować, aby być użytecznym.

Książę roześmiał się.

– Ależ nie musisz pracować – powiedział. – Nawet nie wiem co potrafił-
byś robić.

– Cokolwiek bądź, jestem silny. Mogę wykuwać zbroję, ścinać drzewa, a mogę też być pisarzem na twym dworze, panie. Wyuczono mnie wielu rzeczy.

– Wierzę ci, przyjacielu – odparł książę. – Ale w moim państwie dość jest rębajłów i pisarczyków. Ty jesteś przeznaczony do większych rzeczy, do spełnienia tajemnych przeznaczeń.

– Ja, panie?! – zdumiał się Belizariusz.

– A któż by inny! Wiem z ksiąg, że człek tak niezwykajnie naznaczony przez naturę nosi w sobie moc, jakiej inni nie posiadają.

– Nie, panie, nie mam...

– Nie przerywaj. Możliwe, że sam o tym nie wiesz. A dlaczegóż to król Miron wolał pozbyć się ciebie? Widać przeczuwał, że będą z tobą kłopoty. Ale tutaj twoją moc ujarzmimy i będzie mi ona służyła, a tobie przyniesie sławę. Wszystko to potwierdza mędrzec Salomon, który jest na moim dworze zarazem astrologiem. Nie zwlekając udasz się do niego.

Przemowa ta oszołomiła Belizariusza. Zaczął coś mówić, ale Adrian ani chciał słuchać. Na jego rozkaz paź zaprowadził cyklopa na szczyt wieży, gdzie stary, osiwiwały Salomon badał nocami niebo, a całe dnie, jak przystało na prawdziwego mędrca, spędzał na rozmyślaniach i drzemce. Nie widział dotąd Belizariusza, z tym większą ciekawością przyglądał mu się teraz.

– Ach, ach – powiedział cichym głosem – przedstawiasz sobą istotnie zupełnie wyjątkowe zjawisko. I rzeczywiście nie wiesz, że należysz do wybrańców losu?

– Panie – Belizariusz skłonił się przed starcem. – Jest zupełnie przeciwnie. Mój wygląd odstrasza ludzi: boją się mnie i nienawidzą. Jestem wygnańcem, siedziałem w więzieniu, a przecież życzę wszystkim jak najlepiej.

– A widzisz – rzekł Salomon – sprzeczność faktów. Ale teraz będzie ina-

czej. Wydobędę z ciebie twoją moc, siłę czarnoksięską, którą zadziwisz świat.

– Panie, nie mam żadnej mocy tajemnej. Pragnę tylko w spokoju żyć i pracować, jak każdy. Nie chcę zadziwiać świata, chciałbym raczej sam móc go podziwiać.

– Rozumiem – powiedział starzec. – Nie masz wiedzy na temat swej natury. Wkrótce ją poznasz. Musisz tylko robić wszystko, co ci każe.

To mówiąc zapalił ogromną świecę, mimo iż był dzień. Potem wyjął z szafki pękata butelkę, nalał z niej trochę płynu do kubka i rzekł:

– Wypij to Belizariuszu, i usiądź wygodnie w fotelu. Dobrze. A teraz zamknij swoje niezwykle oko.

Astrolog narzucił mu na głowę czarną płachtę i ciągnął:

– Otwieram okno, a ty staraj się całą siłą przywołać gołębia.

– Gołębia?

– Tak, to prosta rzecz dla czarnoksiężnika, ale muszę bardzo powoli wyzwać w tobie siłę woli. Powinieneś się skupić.

Belizariusz, pogrążony w ciemnościach, skupił się, ale nie na gołębiu, lecz na wspomnieniach. Zatęsknił nagle za domem, do rodziców, do cioteczek, nawet do żelaznej swej wieży. Zrobiło mu się bardzo smutno, zapragnął być tam, wśród swoich. Gdy tak rozmyślał, nagle usłyszał wizg i trzepot skrzydeł.

– Jest!! – zakrzyknął Salomon zatrzaskując okno. – Hej! – zawołał na pa-
zia – biegnij do księcia pana i proś w moim imieniu, aby raczył czym prędzej tu przybyć.

– Widzisz, jakie to łatwe? – zwrócił się do Belizariusza i zdjął mu płachtę z głowy.

Cyklop otworzył oko. Zobaczył jaskółkę, która śmigła pod pułapem i tłukła się o szybę daremnie szukając wyjścia.

– Przecież to nie gołąb – powiedział. – A poza tym, ja...

– Ależ Belizariuszu – przerwał mu mędrzec – jaskółka to też ptak, nie bądźmy drobiazgowi. Uważam, że jak na pierwszą próbę, dobrze się spisałeś.

– Biedna jaskółka pomyliła piętra – powiedział cyklop. – Wypuść ją, panie, aby wróciła do swych piskląt...

Nie dokończył, bo oto wkroczył książę Adrian.

– Patrz, panie – odezwał się z dumą mędrzec – oto efekt mojej pierwszej lekcji z jednookim. Ściągnął do pokoju ptaka.

– Zaslugujesz na pochwałę, Salomonie – rzekł książę, wyraźnie zadowolony. – Ale powiedz mi, kiedy cyklop osiągnie pełną moc czarnoksięską?

– Sądzę, że za trzydzieści dni, mój książę – odparł mędrzec.

– Dobrze, poczekam, a gdy znajdziesz w gwiazdach szczęśliwy dla mnie czas, wyprawimy się na wroga. Nareszcie pognębię pysznego Tytusa. Belizariusz sprawi, że runą mury jego grodu, na pół pękną miecze wrażeń wo-



jowników i padną pod nimi ich konia, a dzuma nawiedzi cały tamten niepokorny lud. Zawładnę wtedy...

– Nie, panie! – zakrzyknął Belizariusz. – Nie chcę spowodować tylu krzywd, a i nie potrafię, bo nigdy nie będę czarownikiem.

Wydawało się, że książę wybuchnie, ale powstrzymał gniew, uśmiechnął się i rzekł:

– Mój cyklopie, to wszystko nie będzie potrzebne. Wystarczy, że zburzysz niebotyczne mury króla Tytusa. Resztę załatwią moi rycerze. Ty zaś zostaniesz sowicie wynagrodzony, a po wojnie staniesz się moim nadwornym magikiem i przyjacielem. A czarownikiem będziesz, czy chcesz czy nie.

Po tych słowach książę opuścił wieżę. Salomon odetchnął z ulgą i powiedział:

– Belizariuszu, nigdy nie mów takich rzeczy księciu. Nikt mu się nie sprzeciwia, bo gdy wpadnie w gniew, potrafi być straszny. Dziwię się, że teraz nie zagroził ci ścięciem za twą hardość. Ale widzę, że zależy mu na tobie i dlatego jest taki łaskawy. A więc zabierajmy się do roboty.

Jednak następne próby były niepomyślne. Po tygodniu zgnębiony mędrzec, nie chcąc ponosić winy, oskarżył cyklopa o złą wolę i upór.

– Mówiłem, panie – powiedział Belizariusz, gdy stanął przed rozsierzdzonym księciem – że nie mam żadnych w sobie mocy i nikt nie może zrobić ze mnie czarownika.

– Kłamiesz! – wrzasnął Adrian. – Mędrzec Salomon to głupiec i niedorajda. Teraz ja się tobą zajmę.

Na drugi dzień książę wyprowadził Belizariusza na balkon i wskazał plac przed pałacem.

– Widzisz ten stos drew ułożony pod skarpa? – spytał.

– Widzę.

– Gdy nastanie noc, rozpalimy sobie ognisko, ogromne ognisko. I wiesz co będzie dalej?

– Nie wiem, panie.

– Otóż muszę się ostatecznie przekonać, kim ty właściwie jesteś. Zostaniesz wrzucony w płomienie. Jeśli masz w sobie te moce tajemne, nic ci się nie stanie, a wtedy na nic będzie cały twój upór.

Książę skinął na strażników, a ci natychmiast skrępowali cyklopa. Potem wywieźli go za mury i zamknęli w jakiejś chacie. Tam miał czekać na wyrok losu.

Belizariusz gotował się na śmierć. Pomyślał, że nie ma dla niego miejsca na tym świecie. Przedtem zarzucano mu, że jako odmieniec był czarownikiem, teraz, że nie jest czarownikiem. Cóż mu pozostało? Musiałby udowodnić, że jest tym, czym jest, a jednocześnie tym, czym zgoła nie jest. Przestał rozmyślać i popadł w odrętwienie. W nocy zjawił się przed nim ogromny halabardnik o ponurym obliczu i złych oczach.

– Czas na ciebie – powiedział ochryple. Narzucił na cyklopa worek i mocno związał jego końce.

Belizariusz usłyszał rzenie konia, potem uczuł że go niosą i układają na wozie. Koń ruszył, wóz się potoczył.

A tymczasem na placu pałacowym zgromadził się już tłum mieszkańców grodu ciekawych niezwykłego widowiska. Książę pan otoczony swymi dostojnikami zajął miejsce na balkonie. Brakowało tylko Salomona, który zrozpaczony niełaską władcy rozmyślał daremnie w swej wieży nad niezgłębioną tajemnicą natury cyklopa.

Równy o północy zjawił się na wzgórzu wóz z więźniem. Na dany przez księcia znak ponury halabardnik ściągnął wór z wozu i strącił go ze skarpy w płomienie. Buchnął ogień, posypały się iskry, zawirował czarny dym, który żalobnym welonem długo snuł się nad miastem. Po jakimś czasie ognisko się wypaliło. Pozostała po nim tylko kupa popiołu, węgle, trochę niedopalonych drewn i nieco kości.

– Nie ma cyklopa! – wykrzyknął książę. – Co oznacza, iż nie był czarownikiem. A więc i nie szkoda, że się spalił. Chodźmy, przyjaciele, dokończyć uczyty.



Rozdział trzeci

Dziwy i czary

I znów była noc. Na niebie, wśród żółtawej od mgieł poświaty, królował księżyc w pełni. Lecz smutny się jakiś wydawał. Przesłaniał co chwila pierzastymi chmurami swe oblicze, jakby nie miał ochoty spoglądać na daleki ziemski krajobraz. Istotnie, okolica była ponura, pustynna i dzika. Nagie wzgórza okalały płaskowyż poprzerzynany wąwozami i rozpadlinami. Po między nimi piętrzyły się skały i kupy kamieni.

A jednak i tu zabłąkała się jakaś postać ludzka. Człowiek ów z wysiłkiem pokonywał ten trudny teren, padał, potykał się, lecz nie ustawał w mozolnym posuwaniu się naprzód. Wreszcie zatrzymał się przy jakiejś grocie, w której najwidoczniej chciał odpocząć. Księżyc, zaciekawiony osobliwym podróżnym, przepędził chmurki i ożywił blaskiem tę martwą ziemię.

W tej chwili człowiek wydał gromki okrzyk i cofnął się z przestachem. Oto ujrzał postać ludzką, ale niezwykłą. Lśniła bielą, zastygła w dziwnej postawie: jakby się szykowała do biegu, lecz jedną rękę miała uniesioną do góry, a głowę pochyloną. Podróżny wprędce zorientował się, że był to posąg wyrzeźbiony misternie w marmurze, oddający wszystkie szczegóły ubioru i rysy twarzy.

– Czyżby mieszkał tu mistrz rzeźbiarski? – mruknął podróżnik wsuwając się ostrożnie do groty.

Spenetrował ją całą, ale była pusta. Więc legł w kącie i zasnął wielce utrudzony. Rano, ku swemu ogromnemu zdziwieniu, nie znalazł rzeźby. Zniknęła. Zaciekawiony, począł szukać figury lub rzeźbiarza, ale wszędzie było pusto i głucho. Jednak coś dziwnego działo się w tej posępnej, bezludnej krainie.

Oto zawsze po zachodzie słońca zjawiał się w różnych miejscach marmurowy posąg, który następnego ranka znikał bez śladu. Pewnego wieczoru podróżny znalazł rzeźbę w grocie. Przedstawiała ona tego samego człowieka, co i przedtem, ale skulonego i jakby śpiącego.

Aż któregoś dnia dostrzegł w dali na wzgórzu mężczyznę, który jednak na widok obcego począł uciekać. Podróżnik, sądząc, że jest to ów rzeźbiarz znakomity, puścił się jego tropem, ale potknął i spadł ze skały. Poczł silny ból w nodze. Dowłókł się z trudem do jakiejś jaskini i tam, bezradny, przeleżał dzień cały. Ból nogi i smętne myśli długo w noc nie dawały mu zasnąć. Ale rano...

Obudził go zapach dymu i trzask płomieni. Gdy się na dobre ocknął, zobaczył ze zdumieniem, że przed jaskinią paliło się wielkie ognisko, nad którym wisiał kociołek, a młody chłopiec krzątał się wokół i najwidoczniej szykował posiłek. Naraz chłopak wsunął głowę do wnętrza jaskini i zawołał wesoło:

– Wstawaj, panie! Śniadanie gotowe!

– Ktoś ty? – spytał zdumiony mężczyzna. – I czy wiesz do kogo mówisz? Jestem wyklęty, lepiej odejdz stąd.

– Nazywam się Wiktoryn, mam czternaście lat – odpowiedział śmiało chłopiec – a ty panie, jesteś sławnym, dla jednych przeklętym, a dla mnie zawsze miłym...

– Co mówisz, chłopcze, czy mogę być dla kogokolwiek miły?

– Widocznie tak – zaśmiał się Wiktoryn. – Wszystko sobie opowiemy, ale później. Jesteś wygłodzony, mój panie, a tu czeka gorąca kasza ze słoniną i pieczone kurczę, oraz świeży chleb. Pomogę ci wyjść, bo jak widzę masz skręconą nogę. To nie jest złamanie, wyleczę cię, za dwa dni będziesz mógł chodzić. A teraz jedz, panie, i o nic nie pytaj.

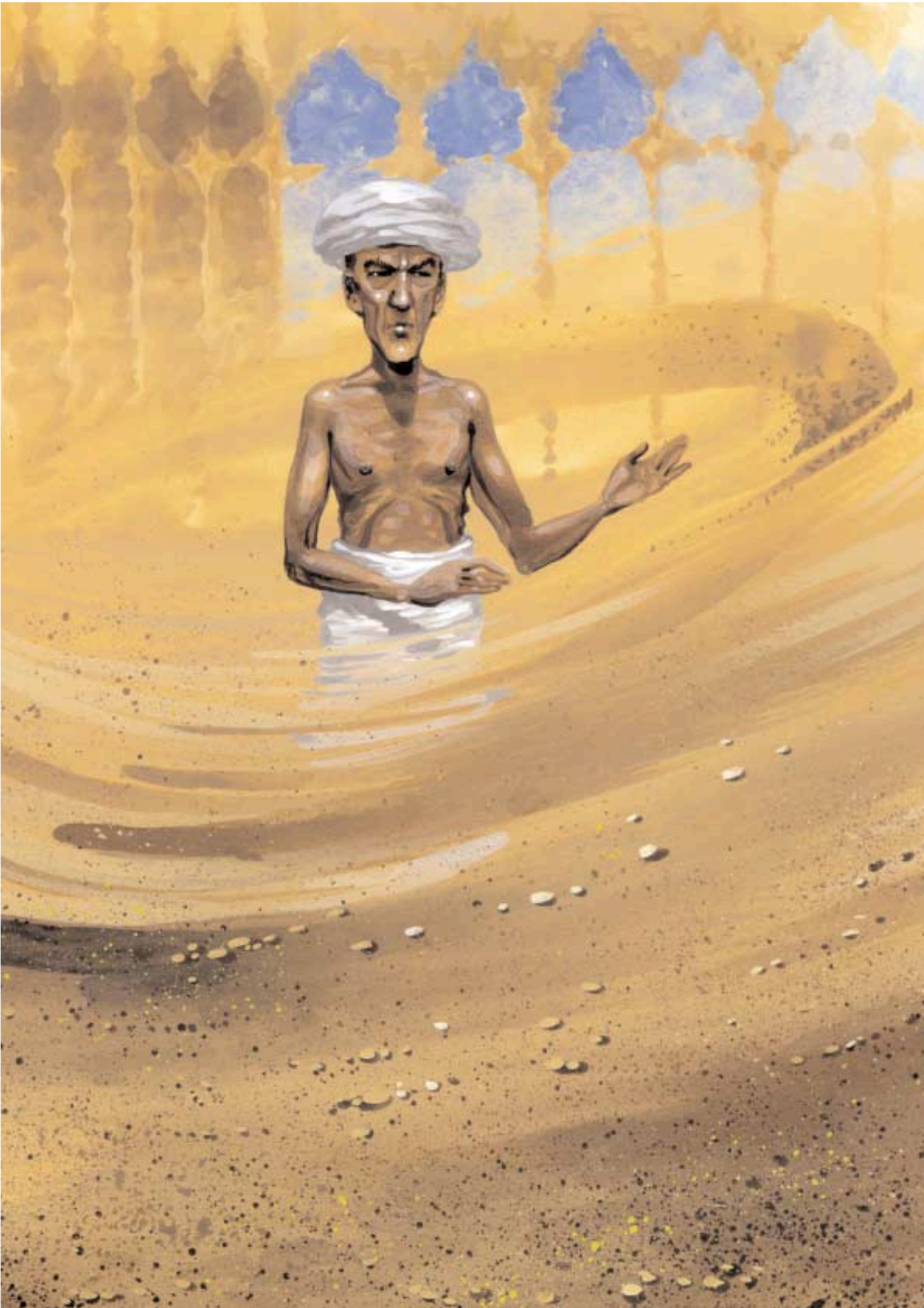
Wszystko to chłopiec wypowiedział jednym tchem, po czym podał mężczyźnie ogromną porcję. Posiłek był istotnie znakomity i wzmocnił stargane siły chorego.

– Muszę ci teraz wyjawić, panie – powiedział chłopak – że widziałem, jak po raz pierwszy wjechałeś do grodu. Od razu polubiłem cię serdecznie za twą szczerą twarz i dobrotliwy uśmiech, no i zachwyciłem się twym niezwykłym wyglądem. Drwiłem z tych, którzy się ciebie bali. Jesteśmy kmieciami, pracowałem z ojcem na roli, ale będąc często w grodzie, gdzie sprzedajemy warzywa, dowiedziałem się ze zgrozą co cię czeka. Ach, jak płakałem, gdy spalono cię na stosie. Ale potem zobaczyłem, jak przekradasz się lasem i opuszczasz państwo księcia Adriana. Wtedy zapadło w moim sercu postanowienie, by ci towarzyszyć. Powiedziałem rodzicom, iż przyszedł czas bym wyruszył w świat i poszukał służby gdzieś u dworu. Rodzice, choć z bólem, zgodzili się wiedząc, że z dawna tego pragnąłem. I jak widzisz zaopatrzyli mnie na drogę. To, że spotkałem cię, panie, przyśpieszyło tylko wykonanie mego zamiaru. Pomyślałem sobie, że może będę ci pomocny, gdy znów spotka cię, panie, jakaś zła przygoda. Otóż szedłem twoim śladem, ale dopiero dziś w nocy odnalazłem mego dobrego pana.

Belizariusz milczał. Łzy wzruszenia wezbrały w jego oku i spływając po nosie kapały do kaszy.

– Panie, przesolisz kaszę! – zawołał ze śmiechem Wiktoryn. – Opowiedz jak zdołałeś się uratować.

Belizariusz popatrzał z wdzięcznością na chłopca. Wiktoryn miał brązowe włosy, bystre szare oczy i jasną twarz. Promieniował żywotnością i zapałem. Cyklop poczuł do niego zaufanie i od razu polubił serdecznie tego szczerego chłopaka, ciesząc się, że ma przyjaciela. Dlatego opowiedział mu wszystko o sobie, nie pomijając niczego.



– Ciągłe się głowiłem – mówił dalej – kto zapłacił królowi Mariuszowi za moje uwolnienie. Pewnie ten sam dobroczyńca wybawił mnie z rąk Adriana. A było to tak: siedziałem dzień cały uwięziony, a w nocy jakiś straszny halabardnik powiózł mnie zamkniętego w worku, jak myślałem, na stos. Jednak jechaliśmy bardzo długo, po czym zostałem zrzucony z wozu. Ktoś rozciął worek i szybko odjechał. Możesz sobie wyobrazić jak byłem zdumiony i uradowany! A poza tym Wiktorynie, nie nazywaj mnie panem, dobrze?

– Dobrze, panie! – zaśmiał się chłopiec, potem spoważniał. – Rzeczywiście, zadziwiające wydarzenia. Może twoje cioteczki wysłały kogoś, by cię osłaniał w razie potrzeby?

– Nie, nie mają one tyle środków, a brata swego przecież nie mogły o to prosić. Któż to był ów wielmoża w złotej karecie?! To wielka zagadka.

W tym momencie zobaczyli zbliżającego się mężczyznę. Kroczył niepewnie, przystawał, a w rękach niósł jakiś duży przedmiot, który okazał się być drewnianym koniem.

– Dobrzy ludzie – odezwał się przybysz. – proszę, sprzedajcie mi trochę jedzenia. Pieniądzy nie mam, ale zapłacę wam tym koniem. Rzeźbiłem go wiele lat, jest piękny.

Wiktoryn zerwał się z miejsca.

– Ależ, panie! – zawołał. – Siadaj do posiłku, nie chcemy zapłaty.

Nieznajomy mężczyzna był szalenie wychudzony, szerniał, a co najdziwniejsza, jego twarz przypominała tę z marmurowych posągów. Podczas, gdy z zachłannością zajadał, Belizariusz spytał:

– Czy to ty, panie, wyrzeźbiłeś te wszystkie posągi, które widziałem? Wydaje się, że za wzór brałeś siebie samego?

Na te słowa mężczyzna zbladł, potem poczerwieniał i zawołał:

– Ach, więc widziałeś! Ach, nigdy nie mogę zdążyć! I po cóż siedzę na tym pustkowiu dwadzieścia już lat?! Nie, to nie ja, jakże mógłbym tak rzeźbić! To nie ja, nie ja! Nie!!

Zerwał się i rzucił do ucieczki.

– Panie! – krzyknął Belizariusz – Czemu się nas boisz? Chcemy ci pomóc!

– Co mu się stało? – zdumiał się Wiktoryn. – I o jakich posągach mówiłeś?

Belizariusz opowiedział o dziwnych rzeźbach i dodał:

– To on uciekał przede mną wtedy, gdy skręciłem nogę, poznałem go. Kryje się za tym jakaś wielka tajemnica. Skoro nie mogę jeszcze chodzić i zostaniemy tu parę dni, może coś się wyjaśni?

Istotnie, następnego dnia już wczesnym rankiem ujrzeli stojącego nieopodal na skale tajemniczego człowieka. Zdawał się wahać: podejść czy nie. Wiktoryn pobiegł ku niemu wołając:

– Chodź, panie, czekamy na ciebie ze śniadaniem!

Te słowa widać go ośmieliły, bo zszedł ze skały, ale gdy się zbliżył, widać było, iż jest w rozterce.

– Siadaj, mój panie – zachęcał Belizariusz. – Jak się nazywasz? Ja jestem Belizariusz, a to Wiktoryn.

Przybysz usiadł, ale milczał dłuższą chwilę, zanim opanował drżenie warg.

– Więc dobrze – odezwał się wreszcie – zaufam wam, bo widzę, że dobrzy jesteście, a ja już dłużej nie zniosę swej męki. Ale czy zechcecie mi pomóc?

– Ależ tak! Chętnie ci pomożemy – zapewnił Belizariusz.

– Więc słuchajcie: nazywam się Donat, a pochodzę z państwa króla Justyna. Służyłem na jego dworze i dobrze mi się powodziło. Byłem bardzo młody i szczęśliwy. Miałem się wkrótce ożenić z damą dworu, Kamilą, piękną i miłą panną, którą bardzo kochałem. Król Justyn jest dobrym panem, ale jego żona o imieniu Korynna – to wiedźma. Otóż zdarzyło się pewnego razu, iż będąc bardzo zmęczonym po królewskim polowaniu, zasnąłem i zaniedbałem usługi wobec królowej. Ach, jak dobrze pamiętam tę rozmowę.

– Nie stawiałeś się na czas! – krzyknęła Korynna.

– Wybacz, miłościwa pani – powiedziałem. – To się nigdy więcej nie powtórzy. Spałem jak kamień i nie słyszałem...

– Jak kamień? – przerwała mi, po czym wyjęła ze skrzyni jakieś pudełko, otworzyła je, dmuchnęła w moją stronę i rzekła:

– A więc śpij zawsze kamiennym snem, dopóki nie przeminie mój gniew.

Nie zrozumiałem jej słów, ale to zaklęcie działa po dziś dzień. Gdy tamtego dnia wieczorem poszedłem na spoczynek uczułem z przerażeniem, że kamienieję. Zapadłem w sen bez czucia i snów. Rano, po obudzeniu się byłem znów sobą, ale zziębnięty i zdrętwiały. Tak to się zaczęło. Najgorzej, że przemiana ta, choć następowała po zachodzie słońca, nie miała określonej godziny, więc drżałem ze strachu i starałem się wcześniej udawać do mojej izby, by nikt nie zobaczył co się ze mną dzieje. Bałem się i wstydziłem zarazem. Nie mogłem dłużej żyć między ludźmi. Napisałem list do mej Kamili, że spotkało mnie wielkie nieszczęście, więc muszę odejść i nie wiadomo, czy kiedykolwiek wrócę. Długo błądziłem po świecie, aż znalazłem to oto miejsce pustynne i bezludne, gdzie żyję samotnie, ale nie potrzebuję ukrywać się przed ludźmi ze swoim nieszczęściem. Tak minęło dwadzieścia lat. Aż zobaczyłem was i ogarnęła mnie przemożna tęsknota za zwyczajnym, normalnym życiem, choćby najskromniejszym.

– Domyślam się – rzekł Belizariusz – że chcesz, byśmy odwiedzili króla Justyna i prosili Korynnę w twoim imieniu o zdjęcie zaklęcia.

– Tak, panie – szepnął Donat spuszczaając głowę – łaska to nadzwyczajna dla mnie...

– To nie będzie łaska, lecz radość dla nas, jeśli się nam uda, bo, jak możesz wnioskować z mego wyglądu, mnie też ściga niechęć, a nawet złość ludzka.

– A mnie nie pytacie?! – zawołał oburzony Wiktoryn. – Po to tu jestem, by pomagać w kłopotach. Już nawet wiem w jaki sposób ukryć to, że Belizariusz jest jednooki.





– No widzisz, Donacie – powiedział cyklop. – Obiecujemy ci, że pójdziemy do króla Justyna, by zmierzyć się z wiedźmą Korynną. Może napiszesz list do Kamili?

– Och, tak!! – zakrzyknął Donat.

Ale nikt z nich nie miał skrawka papieru, ani pióra.

– To nic, o wszystkim dowie się od nas – powiedział Wiktoryn. – Wierzę, że po dwudziestu latach złość pani Korynny minęła. A może po prostu zapomniała o tobie, panie. Już my jej przypomnimy.

Następnego dnia Belizariusz i Wiktoryn wyruszyli w drogę, w długą wędrówkę, bowiem kraj króla Justyna leżał bardzo daleko.

– Jakże to, Wiktorynie, chcesz ukryć moje oko – spytał Belizariusza, gdy opuścili już te pustynne strony.

– Zaraz ci pokażę – odparł chłopak.

Wyjął z sakwy czapkę, naciągnął ją na głowę i czoło Belizariusza, ale zrobił nożem szparę tak, aby oko jednak coś widziało, natomiast policzki przewiązał kawałkiem płótna.

– Teraz jesteś niewidomym, a ja chłopcem, który cię prowadzi – powiedział wesoło – lepiej udawać, że się nie ma obu oczu, niż pokazywać jedno.

– Doskonale! – wykrzyknął cyklop. – Jesteś bardzo pomysłowy. Widzę w dali wioskę, zaraz wypróbujemy twój pomysł.

Wszystko poszło dobrze. Belizariusz nie musiał się już ukrywać. W każdym osiedlu ludzie współczuli biednemu niewidomemu, a nierzadko zapraszali podróżnych na posiłek, czy nocleg. Tak przewędrowali szmat świata.

Aż pewnego razu zdarzyło się im niezwykle spotkanie. Oto maszerując leśną drożyną ujrzeli naraz idącego przed nimi mężczyznę, który zdawał się być zmęczony, bo przystawał i potykał się. Był nędznie ubrany, z podartą opończą przewieszoną przez ramię i z workiem na plecach. Belizariusz pierwszy spostrzegł coś zadziwiającego. Był tak zdumiony, że stanął i szepnął:

– Wiktorynie, chyba mnie oko moje zawodzi. Cóż on niesie?!

Chłopak przyjrzał się i omal nie krzyknął. Ale pohamował się i rzekł:

– Moje dwoje oczu widzą to samo, co twoje jedno. To niesamowite!

Tak, to było niesamowite. Człowiek ten niósł pod lewą pachą swoją prawą rękę. Najwyraźniej widać było dłonie i palce, które chwiałały się w rytm jego kroków, tak, jak i pusty prawy rękaw. Raptem nieznajomy mężczyzna, usłyszawszy zapewne szmer, odwrócił trwożliwie głowę, po czym dał nura w krzaki. Po chwili wyłonił się znów na ścieżkę, ale bez tej martwej ręki. Usiadł na pniu ze smętną miną i czekał, aż Belizariusz i Wiktoryn się zbliżyli.

– Witaj, dobry człowieku – powiedział cyklop, nie zasłaniając swego oka.

– Czemuś taki strapiony? Jak widzisz, ja też mam coś do ukrywania.

– Widzieliście? – spytał “dobry człowiek”.

– Widzieliśmy, ale jeśli sobie życzysz, również dobrze mogliśmy nie widzieć. Jak się nazywasz?

– Mam na imię Fabian, ale za dobrych czasów, gdy miałem jeszcze przyjaciół, nazywano mnie powszechnie Fabus, więc i wy tak mówcie, bo może znajdę u was odrobinę współczucia dla mej niedoli.

– Na pewno znajdziesz – odparł Belizariusz. – Idziemy w tę samą stronę, przyłącz się do nas, a może oprócz współczucia uda się nam ulżyć twej niedoli.

Poszli. Fabus wzdychał i pojękiwał, ale nie mówił o swych zmartwieniach, a oni nie nalegali. Po kilku dniach widać było, że jednoreki przywiązał się do swych towarzyszy. Był nieśmiały i załężniony, ale skory do usług i pomocy. Któregoś dnia, gdy siedzieli na polanie odpoczywając, Fabus nie wytrzymał. Z nagłym postanowieniem wyciągnął swą rękę z worka i położył na trawie.

– Opowiem wam wszystko. Niech się dzieje, co chce – powiedział. – Jestem właściwie marynarzem. Służyłem wiele lat na okręcie i dobrze mi było. Aż pewnego razu znalazł się wśród pasażerów pewien człowiek wesóły i wielce pocieszny. Robił różne magiczne sztuczki, co tak mi się spodobało, że dałem się, głupi, namówić na służbę u niego. Nie powiem, dobrze płacił, a roboty było niewiele, bo ciągle wyjeżdżał z domu. Razem ze mną służył tam chłopak jeden poczciwy. Darek się nazywał. Pan mój był bardzo bogaty. Wszędzie po stołach walało się pełno różnych cacek ze złota, a w szufladach i skrzynkach – złote dukaty. Byłem zawsze uczciwy, ale widząc tyle dobra coś mi się pokręciło w głowie i w moim sumieniu. Zdało mi się, że to nic złego, gdy wezmę coś ładnego i to nie dla korzyści, lecz aby cieszyć oczy. Pod nieobecność mego pana wybrałem spośród rupieci złotą rybkę, która miała zielone oczy w ciemności świecące. Tej nocy nie spałem bawiąc się z uciechą moją rybką. Ale pan mój, gdy wrócił, od razu spostrzegł brak klejnotu. Postawił nas obu przed sobą i spytał kto go wziął. Obaj milczeliśmy: Darek, bo był niewinny, a ja ze strachu. Nie wiedzieć czemu pan skierował podejrzenie na Darka i zamknął go w komórcie bez jedzenia. Dopieroż sumienie moje przyszło do przytomności, a i rozum wrócił na swoje miejsce. Przyznałem się i oddałem rybkę. Pan wypuścił Darka i tak rzekł:

– Wiedziałem, że to ty, Fabusie. A wiesz skąd wiedziałem? Bo zwę się Fortunatus. A wiesz ty, kto to jest Fortunatus?!

– O rety! – wykrzyknąłem – słyszałem! Toż to wielki czarnoksiężnik!

– Tak – powiedział – a teraz ukarzę cię, boś złodziej. Odejmę ci rękę, która ukradła. Ale ponieważ się przyznałeś, nie umrze ona, a nawet wróci na swoje miejsce, jeśli sam domyślisz się, co powinienesz uczynić.

Zrobił jakiś znak i ręka odpadła mi od ramienia. Rozumiałem, że muszę się upokorzyć i przebłagać pana, by odzyskać rękę. Padłem przed nim na kolana, przeproszałem i przysięgałem jemu i sobie, że nigdy już nikomu niczego nie ukradnę. Prosiłem też o wybaczenie Darka, który cierpiał przeze mnie. Oni mnie wybaczyli, ale ręka nie wróciła. Fortunatus śmiał się tylko, a potem zwolnił mnie ze służby. Już trzy lata błąkam się po świecie i ciągle myślę, co powinienem uczynić, ale nie wiem! – wykrzyknął z rozpaczą. – Próbowałem ją przyczepić, przykleić, przywiązać, nie chce się trzymać, od-

pada. Wiesz, panie, można żyć bez ręki, nawet pracuję to tu, to tam, i nie to mnie smuci najbardziej, ale to, iż jestem tak bardzo głupi. Trzy lata myślenia na nic. Czy coś rozumiesz z tego, panie?

– Hm, ręka, choć blada i trochę chłodna, istotnie jest żywa – powiedział Belizariusz – co upewnia, iż musi być jakiś sposób, tylko trzeba na to wpaść. Muszę pomyśleć. Wiktorynie i ty rusz głową, a może do wieczora rozwiążemy zagadkę.

Poszli dalej w milczeniu rozważając w myślach tę niezgłębioną tajemnicę. A przy wieczornym ognisku Belizariusz odezwał się:

– Oto, Fabusie, wiem co masz uczynić, ale jak rzekłeś, Fortunatus polecił, byś sam się domyślił, więc nie powiem ci wprost, lecz zadam pytanie. Ufam, że znajdziesz na nie odpowiedź, a wtedy zrozumiesz co powinieneś zrobić.

– Och, panie – załkał bezręki – boję się, boję, że nie znajdę odpowiedzi.

– Myślę, że znajdziesz. Pytanie jest takie: kto najbardziej ucierpiał w wyniku twego złego postępu? Teraz sobie rozważaj, a my, Wiktorynie, pójdziemy spać.

Noc minęła spokojnie. Ale o świcie rozległ się straszliwy wrzask. Belizariusz zerwał się ze snu gotów odeprzeć stado dzikich zwierząt, Wiktoryn chwycił za kij, lecz nie było przeciw komu walczyć. Nie było nawet Fabusa.

– Gdzie jest bezręki?! – krzyknął Wiktoryn. – Może go porwano?

Raptem znowu rozległ się krzyk, a potem bełkot jakiś niezrozumiały. Teraz dopiero wyłoniła się z przedranego mroku postać Fabusa. Klęczał pod krzakiem pochylając się nad swą ręką. Gdy usłyszał kroki, zabełkotał wyraźniej:

– Rusza, rusza palcami! Ooo!! Zobaczcie!

Istotnie tak było, nawet cała dłoń się uniosła, a ramię drgnęło. Belizariusz podniósł z ziemi tę nieszczęsną rękę i przyłożył koniec ramienia do barku Fabusa. Zrost nastąpił tak szybko, że nawet tego nie zauważyli. Fabus oszalał ze szczęścia, skakał, tańczył, potem padł plackiem przed Belizariuszem, a gdy ten go podniósł, wykrzyknął:

– O, panie, jakiś ty mądry! Widać coś z twej mądrości przeskoczyło do mej głupiej głowy, bo po nocy pełnej wytężonego wysiłku nagle zaświtało mi, że to moja ręka jest najbiedniejsza – odjęta od ciała, jak gałąź od drzewa i na wpół martwa. Więc błagałem ją o przebaczenie i wtedy i wtedy... Dzięki, panie, będę ci służył całe życie!

– Och, przestań, Fabusie – rzekł Belizariusz. – Wiktoryn też ma swój udział w rozwiązaniu zagadki. Najwyżej pomożesz nam, gdy przyjdzie do wykonania pewnego ważnego zadania.

Jeszcze tego samego dnia dotarli do państwa króla Justyna. Teraz należało zastanowić się, w jaki sposób dostać się do pałacu i spotkać z królową Korynną.

– Ja już sobie całą rzecz obmyśliłem po drodze – powiedział rezolutnie Wiktoryn. – Przyznacie, że takich biedaków jak my, którzy w dodatku nie wiadomo kim są, nikt nie wpuści nawet przez bramę pałacową. Ale jest na



to rada. Belizariusz musi zostać wielkim panem odzianym jak rycerz, z giermkim i sługą.

– Ja będę sługą! – zawołał ochoczo Fabus.

– Ależ skąd weźmiemy... – zaczął Belizariusz.

– Poczekajcie – ciągnął chłopiec – zamieszkamy w opuszczonej szopie, którą wypatrzyłem niedaleko stąd w lesie. Belizariusz nie będzie się pokazywać, ale ja i bezręki pójdziemy...

– Nie jestem bezręki – obruszył się Fabus.

– Oczywiście, Fabusie, ale tak jakoś to przezwanie przystało do ciebie. Otóż my dwaj chwycimy się jakiejś roboty i za to kupimy co trzeba.

Belizariusz nie chciał na to przystać.

– Wy będziecie pracować, a ja tylko czekać beczynnienie?

– O, nie! – zawołał Wiktoryn – ty też ciężko popracujesz – będziesz codziennie przygotowywać wieczerzę dla wszystkich.

Tak też zrobili. Minęło siedem dni, a już ósmego Wiktoryn i Fabus powrócili do swego towarzysza z całą wyprawą.

– Jakże tak szybko zdołaliście zapracować na to wszystko? – zdziwił się Belizariusz.

– Trafił mi się pewien wielmoża – odparł ze śmiechem chłopak – który kupował jeszcze wspanialsze odzienie, a to, choć prawie nowe, odstąpił mi za pół darmo. Patrzcie, mamy jeszcze trochę grosza na drogę.

Gdy Belizariusz przywdział nowy strój, wyglądał iście po pańsku. Fantazyjny kapelusz przykrywał jego oko, a pióro – wyciętą szparkę. Nawet miecz (choć trochę wyszczerbiony) się znalazł. A i Wiktoryn – giermek chwacko się przedstawiał. Fabus też otrzymał nową opończę i buty. Tak przygotowani ruszyli na podbój królewskiej siedziby. Jednak Belizariusz postanowił nie kryć swego wyglądu.

– Musimy postępować otwarcie – powiedział – jeśli chcemy, by dano wiarę wszystkiemu, co mamy do powiedzenia.

Wyszło to im na dobre, bo strażnicy strzegący bramy pałacowej tak się przestraszyli widokiem niesamowitego pana, iż uciekli, a oni spokojnie wkroczyli na podwórzec i dostali się na pokoje. Tu powitał ich szambelan powiadomiony, iż jacyś obcy przybyli do pałacu. Widząc bogatego pana ze służbą, ukrył swe zdumienie i pomieszanie, powitał przybysza i spytał kto zasz i z czym przychodzi.

– Nazywam się Belizariusz – odpowiedział gość – a pochodzę z kraju króla Mirona.

Szambelan był dostojnym i poważnym starcem, którego wszyscy bardzo szanowali, ale kłopot polegał na tym, że w swym dostojeństwie i powadze nie mógł uznać istnienia czegoś tak cudacznego jak jednooki człowiek, który w dodatku chce, by go traktować poważnie. Na razie jednak rozmawiał z nim cierpliwie. A Belizariusz mówił:

– Otóż, czcigodny panie, przychodzę z posłaniem od pewnego znajomego mi człowieka, który niegdyś był dworzaninem króla Justyna. Jest to bolesna



i ważna sprawa, a prośbę owego dworzanina obiecałem przedłożyć miłościwej królowej Korynnie.

– Hola, mój panie – powiedział szambelan z irytacją – widać pomyliłeś drogi, u nas nie ma damy o tym imieniu.

– Jakże to? Wszak jesteśmy w państwie króla Justyna.

– Cóż z tego? – prychnął szambelan i zrobił minę, jakby się poczuł osobiście dotknięty. – Moja królowa nosi piękne imię – Estera.

– Więc możliwe, że znajomy mój zapomniał imienia. Wszak minęło dwadzieścia lat.

– Dwadzieścia lat! – wykrzyknął dostojnik. Był teraz naprawdę oburzony.

– Nie masz czego tu szukać mości panie! Nasza królowa ma właśnie tyle lat ile wymieniałeś.

Belizariusz był załamany.

A czy znasz, dostojny panie – spróbował jeszcze – damę o imieniu Kamila?

– Znam, ale wątpię, czy będzie mogła z tobą rozmawiać, panie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że zemdleje, jak cię ujrzy. Albo ucieknie. Albo jedno i drugie – zaśmiał się złośliwie.

Strzał był celny. Belizariusz zaczerwienił się i zmieszał. Wiktoryn zacisnął pięści.

– Raczyłeś zażartować, panie – powiedział Belizariusz, zmuszając się do uśmiechu. – Zniosę wszystko, byle bym mógł przekazać zacnej tej damie wiadomość.

Dostojny i poważny szambelan zamrugnął, sapnął i wyszedł bez słowa.

– Jest Kamila, choć to dobrze – szepnął Wiktoryn.

Po dłuższej chwili ukazała się w drzwiach pani w średnim wieku, ale urodziwa, o obliczu smutnym i łagodnym zarazem. Ujrawszy Belizariusza zbladła okropnie, uniosła dłonie do twarzy, wyszeptwała jakieś słowa, których nikt jednak nie dosłyszał i zachwiała się. Wiktoryn poskoczył, by podsunąć jej krzesło, myśląc, że zemdleje.

Dama usiadła, ale nie zemdląca, tylko milcząc wpatrywała się w Belizariusza. Po chwili wstała i uczyniła coś bardzo dziwnego: podeszła do cyklopa, wspięła się na palcach i dotknęła jego twarzy tak, jak ongiś zrobiła to Kornelia.

– A więc nazywasz się Belizariusz – powiedziała. – Jak widzę wychowałeś się na pańskim dworze? – było to ni to pytanie, ni to stwierdzenie.

– Nie, pani – odparł cyklop. – Ubraliśmy się tak, by za wszelką cenę dostać się do tego pałacu. Mam ważne posłanie, wiadomość od Donata...

– Od Donata!!! – wykrzyknęła dama, zatrzepotała rękami i tym razem niechybnie upadłaby na ziemię, gdyby Wiktoryn w czas nie podskoczył znów z krzesłem. Kamila osunęła się na nie bez sił. Ale zebrała się w sobie i wyszeptwała:

– Ach mów, Belizariuszu, mów, więc on żyje! Więc nie na próżno czekałam tyle lat! Gdzie on jest? Kiedy wróci?

Belizariusz opowiedział dzieje biednego Donata tak, jak to usłyszał z jego własnych ust.

– Ale cóż poczniemy – powiedział na koniec – skoro nie wiadomo kto go zaczarował? Szambelan mówił, że nie ma damy o imieniu Korynna.

– Nie ma, ale była – rzekła Kamila. – Teraz ja wam coś opowiem. Wtedy, gdy to się stało, dwadzieścia lat temu, istotnie królową była Korynna, a ja jej najbliższą damą dworu. Wiedziałam, że jest wróżką, ale aż dotąd nie miałam pojęcia, iż potrafiłaby tak okropną rzecz uczynić. Zresztą, może odwróciła by ten czar, jednak stała się rzecz niespodziewana. Królowa wkrótce po odejściu Donata zachorowała (panowała u nas wtedy jakaś zaraza) i umarła. Król był w tym czasie na wojnie. Gdy dowiedział się o jej śmierci, z rozpaczy dosiadł konia, pomknął samopas na wroga i zginął.

– Jak to? Przecież król Justyn panuje do dziś! – przerwał Belizariusz.

– To jego stryj o tym samym imieniu. Objął rządy, gdyż nie było następcy tronu.

– Więc nie ma nadziei! – westchnął cyklop, a za nim Wiktoryn i Fabus.

– Czy myślisz, Belizariuszu, że byłabym tak spokojna, gdybym nie miała nadziei? – powiedziała Kamila. – Jest nadzieja, choć słaba, ale jest. Otóż wiedz, że istnieje bliźniacza siostra Korynny – Roksana. I też ma czarodziej-ską szkatułkę. Mieszka daleko stąd na Kamiennej Górze. Byłam tam jeden jedyny raz z wiadomością o śmierci jej siostry. Zachowała się dziwnie i prawdę mówiąc niegrzecznie. Nie wyraziła żalu, tylko spytała, czy przyniosłam jej coś od Korynny. Powiedziałam, że nic. Wtedy rozplakała się i rzekła: “Ach, podła, przecież wiedziała, że nie mogę żyć bez...” Nie dokończyła, zaraz też wyprawiła mnie za drzwi mówiąc, bym się więcej nie trudziła przychodząc do niej. Dotąd nie rozumiem o co jej chodziło. Ale ciebie, Belizariuszu, może wysłucha łaskawiej, jeśli zechcesz podjąć się tego trudu.

– Dobrze – odparł cyklop. – Obiecałem Donatowi i tobie, pani, pomoc, więc nie zatrzymam się w pół drogi. Jeśli trzeba, odnajdziemy Roksanę. Prawda, Wiktorynie?

– Och, mój drogi, dobry Belizariuszu! – wykrzyknęła drżącym ze wzruszenia głosem Kamila.

– Cieszę się, że chociaż ty, pani, obdarzyłaś mego pana dobrym słowem i jak widzę polubiłaś go – powiedział Wiktoryn. – Dotąd wszyscy byli przeciwni niemu. Musieliśmy nawet ukrywać jego oko, by uniknąć prześladowań.

– Nieprawda, nie wszyscy – odezwał się nagle Fabus – ja nie prześladowałem.

Roześmiano się na te słowa, a jednoręki zamilkł zawstydzony.

– Teraz musisz złożyć uszanowanie królowi – rzekła Kamila.

Król, uprzedzony przez nią i szambelana, nie był zaskoczony wyglądem Belizariusza, a zaciekawiony tak wielką osobliwością, jak człowiek o jednym oku, ofiarował mu gościńnię.



– Zostań – mówił – zostań i nie wychodź do miasta, bo ludzie gotowi cię ukamienować. A ja chciałbym poznać bliżej ciebie i twoje dzieje.

– Dziękuję ci, miłościwy królu – odparł Belizariusz – teraz muszę udać się w drogę, ale skoro zaszczyciłeś mnie swą łaską, wrócę tutaj i chętnie stawię się na twe usługi.

Na drugi dzień o świcie wyruszyli we trójkę na poszukiwanie Kamiennej Góry. Kierowali się wskazówkami Kamili, ale przyszło im długo błąkać się, zanim wreszcie pewnego ponurego dnia stanęli u stóp góry. Wyglądała smutnie. Szare kamienie i ostre ułamki skalne zaścięły jej zbocza, a twar- da, jałowa ziemia nie żywiła tu bujnej roślinności.

Tylko gorzkie piołuny o bladych srebrzystych liściach snuły się między kamieniami, tylko samotne dziewanny wystrzelały tu i ówdzie spomiędzy głazów rozjaśniając martwą szarość pochodnią żółtych kwiatów. A to, co uj- rzeli na szczycie wydało im się czymś nierzeczywistym, jakby zjawisko- wym. Tam, w górze widniał na tle granatowego, burzowego w tym dniu nie- ba, biały dom. Czarne skłębione chmury gnane wichrem przesłaniały go co chwila, a wijąc się u jego progu sprawiały wrażenie, iż dom ten unosi się wraz z nimi.

– To jakieś czary! –wykrzyknął Fabus. – Boję się!

– Nie ma czego – odparł Belizariusz. – Po prostu nadciąga burza. Ale wi- dok istotnie jest niezwykły.

– Czy pozwolisz, panie, że zostanę na dole? – jęknął bezręki. – Będę tu na was ciepłiwie czekał. Wolę stały grunt pod nogami, niż ten jakiś pływający w chmurach dom z wiedźmą w środku na dodatek. Ale nie, pójdę, bo może znajdziesz się w niebezpieczeństwie i mógłbym ci wtedy uratować życie – dodał z determinacją.

– O, w razie czego ja też mogę ci uratować życie, Belizariuszu – zawołał śmiejąc się Wiktoryn.

– Zostań, zostań, Fabusie – rozstrzygnął Belizariusz. – Rozumiem twoje lęki. W każdym razie jestem szczęśliwy, że byłeś gotów śpieszyć mi z po- mocą.

Wiktoryn i Belizariusz poczęli z mozołem wspinać się po stromym zbo- czu. Gdy osiągnęli szczyt, ściemniło się jeszcze bardziej, błysnęło, zahuczał grzmot, lunął deszcz. Zastukali do drzwi raz, drugi, trzeci.

– Czyżby i Roksany nie było? – zaniepokoił się Wiktoryn.

Nagle usłyszeli ostry głos:

– Czego chcecie?! Oby was pioruny spaliły!!

W tej samej chwili zaśniła błyskawica i gdzieś w pobliżu potężnie trza- snęło.

– Oho, to rzeczywiście jakaś złośliwa i potężna wiedźma – mruknął Beli- zariusz, a głośno powiedział:

– Pragniemy widzieć się z panią Roksaną. Przychodzimy od Kamili, damy dworu królowej Estery.

Nastąpiła cisza.

– Lepiej ukryj swe oko, Belizariuszu – szepnął Wiktoryn – by nie rozdrażnić jeszcze bardziej czarownicy.

– Masz rację – odparł cyklop naciągając kapelusz i opaskę.

Mokli na deszczu nie wiedząc co robić. Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i powitał ich ten sam szorstki głos:

– Jeszcze was nie splukało? Jeszcze was nie zabiło? No to już wejdźcie.

Skwapliwie przestąpili próg domu i wtedy zobaczyli przed sobą kobietę: była wysoka i gruba, ubrana w długą, białą suknię. Miała czarne włosy, także oczy i pełną twarz.

– Gadajcie szybko czego chcecie, nie mam czasu na pogawędki – powiedziała napastliwie. – Nie tu, wchodźcie do świetlicy.

Gdy usiedli na ławach, Belizariusz odezwał się:

– Nazywam się Belizariusz. Ty zaś, pani, jesteś zapewne Roksana. Szukamy u ciebie łaski i pomocy, ale nie dla siebie, lecz dla pewnego człowieka, którego spotkaliśmy w głuchych górach ukrywającego się przed ludźmi. Został on zaczarowany przez twoją siostrę, pani, królową Korynnę...

– Korynnę?! – wykrzyknęła – Kiedyż to było?

– Dwadzieścia lat temu, tuż przed jej śmiercią, więc nie zdążyła go...

– Powiedz mi człowiecze – przerwała kobieta, która zdawała się już nie słuchać tego co mówił Belizariusz – czy jesteś ślepcem, którego prowadzi ten chłopiec?

To pytanie, zadane zniemacka, zbiło z tropu Belizariusza.

– Niezupełnie – powiedział nie umiejąc kłamać – i tak i nie.

Wiktoryn pośpieszył mu z pomocą:

– On widzi jednym okiem tylko – rzekł, a było to najzupełniej zgodne z prawdą.

– A więc jest jednookim? – zapytała czarownica.

– Dokładnie tak – odparł Wiktoryn.

– Wielkie nieba!! – zawołała kobieta wyrzucając obie ręce do góry. – Ach, ach!

Zerwała się z miejsca i ku zdumieniu swych gości wybiegła ze świetlicy tak szybko, na ile tylko pozwala jej tusza.

– Co to ma znaczyć? – zastanawiali się wielce zaniepokojeni. Czekali w niepewności dość długo. Wreszcie usłyszeli spieszne kroki.

– Chodźcie! – krzyknęła, ukazując się w progu, znajoma kobieta. – A ty, człowiecze, zdejm chustę, by było widać, żeś jednooki.

Belizariusz spełnił polecenie. Przeszli przez jakiś pusty pokój, potem przez ciemny korytarz, na końcu którego znajdowały się drzwi. Kobieta otworzyła je nagłym ruchem i wepchnęła przez nie swych gości. Oczom ich ukazał się tak niespodziewany widok, że stanęli jak wryci.

Panował tu przepych istic wschodni: podłogę zaścielały barwne kobierce, dwie ściany tego dużego pokoju obite były bordowym aksamitem, na pozostałych wisiały cenne makaty, a łóżce zasłane atłasową kapą. Na stolikach stały wazony pełne kwiatów i wazy z owocami, a także świeczniki z zapalony-

mi świecami, gdyż, jako się rzekło, dzień był ciemny od chmur przewalających się tuż za oknami.

Pośrodku komnaty stał fotel, w którym siedziała postać niewieścia cała spowita w różową, muślinową szatę. Jasne włosy okalały jej mizerną, bladą twarz zwróconą ku przybyłym. Palce zaciskały się kurczowo na poręczach fotela, a duże, orzechowego koloru oczy wpatrywały się w Belizariusza. Nagle ta jakby nierealna kobieta roześmiała się i powiedziała:

– Jestem Roksana. Doczekałam się ciebie, jednooki, choć nigdy mi przez myśl nie przeszło, że będzie to cyklop, a nie ot, zwykły człek o ślepych oku. Odżyła moja nadzieja. Przybyłeś, więc ratuj mnie, Belizariuszu! Jeszcze trochę, a umarłabym tu w zamknięciu, choć moja najlepsza na świecie przyjaciółka, Julia, stworzyła mi raj w tym domu. Ty jeden, jedyny możesz...

Bezmiernie zdumienie odmalowało się na twarzy Belizariusza.

– Ależ, pani – wykrztusił – to ty jesteś czarodziejką, do której przyszliśmy błagać o pomoc dla pewnego człowieka. A ja... ja nie mam żadnej mocy czarnoksięskiej, co już zostało stwierdzone. Omal nie spalono mnie na stosie tylko dlatego, że jestem zwykły człowiek.

– To ciekawe, opowiesz mi o tym później – powiedziała Roksana – a jednak... Posłuchajcie: Gdy miałyśmy z Korynną po szesnaście lat, nasza matka ciężko zachorowała. Czując, że umrze, wręczyła każdej z nas szkatułkę i powiedziała: “To jest jedyny skarb jaki posiadam. Każda szkatułka wypełni jedenaście życzeń. Wystarczy otworzyć wieczko i wypowiedzieć życzenie, które jednak, jak wam dobrze radzę, nie powinno przekraczać naturalnych potrzeb. Ale klucz od tych kaset jest tylko jeden, musicie się nim dzielić. Myślę, że to nauczy was zgodnego współżycia. Nie będzie też powodu do wzajemnej zazdrości, bo macie jednakowe dary. Mam nadzieję, że wspólnie potraficie wymyślić takie życzenia, by mądrze pokierować swym życiem i zapewnić szczęście sobie i innym”. Ach, jakże się myliła moja dobra matka! Jeszcze tej samej nocy Korynna odeszła po kryjomu z domu zabierając swoją szkatułkę i nasz wspólny klucz. Okazało się, że bez niego w żaden sposób nie można otworzyć skrzyneczki, a więc i na nic są wszelkie moje życzenia. Ale to jeszcze nie wszystko. Zostałam unieruchomiona. Nie mogę przestąpić progu tej komnaty, tak jak bym natykała się na niewidzialny mur, jak bym była zamknięta na klucz, którego nie ma. To Julia utrzymała mnie przy życiu te dwadzieścia parę lat. Wiem też, że gdy Korynna umarła (widać nie zdążyła życzyć sobie wyzdrowienia), pochowano z nią razem szkatułkę, a więc zapewne i klucz. Kiedyś, w piątym roku mego osamotnienia, przyszła do nas pewna biedna kobieta prosząc, bym uzdrowiła jej dziecko. Opowiedziałam jej co się stało. Wtedy ona wzięła moją rękę, przyjrzała się dłoni i powiedziała, że tylko człowiek o jednym oku może mi pomóc. Ale kiedy przyjdzie – tego nie wiedziała. Jednak słowa te napełniły mnie otuchą i cierpliwie czekałam. Teraz rozumiesz, Belizariuszu, że dopiero wtedy, gdy otworzysz szkatułkę, będę mogła spełnić twą prośbę.

To mówiąc wyjęła ze schowka szkatułkę. Była wykonana z drzewa sanda-

łowego, mała i skromna, z jednym tylko klejnocikiem w kształcie litery “R” na wieczku. Ale i Belizariusz nie potrafił jej otworzyć. Roksana podała mu pęk kluczy.

– Żaden nie pasuje – powiedziała – ale może w twoich rękach któryś z nich poruszy zamek.

Niestety, nawet w rękach Belizariusza klucze okazały się bezsilne.

– Nie ma więcej kluczy – szepnęła Roksana. – Wszystko na nic.

W jej oczach pojawiły się łzy. Belizariusz zamyślił się. Tymczasem nadszedł wieczór, ale burza nie ustawała. Julia zapaliła dodatkowe świece. Wtem Belizariusz ożywił się.

– Wiktorynie – powiedział – gdy przebierałem się, pamiętasz, włożyłem do twej sakwy różne drobiazgi wyjęte z kieszeni starego mego odzienia. Pokaż, co tam masz.

Chłopak wysypał garść drobnych przedmiotów. Belizariusz gmerał w nich dobrą chwilę.

– Och, już bałem się, że go zgubiłem, ale jest – powiedział. – Wprawdzie słaba to nadzieja, lecz patrz, pani.

Pokazał zardzewiały kluczyk ze zgiętym trzonkiem i nadłamanym uchwytem.

– Czemu myślisz, że tym otworzysz? – spytała Roksana – To jakiś ułamek.

– Nie myślę, lecz spróbuję. Skoro nie ma innych możli...

Nie dokończył, bo oślepiła ich straszna błyskawica, zawył wicher, płomyki świec się zachwiały. Lecz Belizariusz, nie zważając na nic, włożył klucz do zamka i przy huku piorunów lekko przekręcił. Wieczko odskoczyło.

– Och! – krzyknęła Roksana i zemdląła.

Gdy Julia ją ocuciła, wróżka już się uśmiechała.

– Julio, Julio! – teraz będziemy wolne i szczęśliwe! Belizariuszu, cóż to za klucz tajemniczy i skąd go masz?

– Sam nie wiem dlaczego ten właśnie klucz pasował do zamka. To pewnie przypadek. Znalazłem go, gdy byłem małym dzieckiem, w trawie, niedaleko domu. Już wtedy był uszkodzony tak, jakby ktoś na niego nadepnął. Bawiłem się nim i miałem zawsze przy sobie wraz z innymi pamiątkami. A dlaczego otworzył? Może potrzeba było właśnie takiego starego, zardzewiałego klucza, by uruchomić ten tajemniczy zamek? Nie wiem. Niech ci odtąd zawsze służy ten klucz, pani.

– Żądaj ode mnie czego chcesz, jednooki, mój wybawco! Wszak przyszedłeś tu z jakąś prośbą?

Wtedy Belizariusz opowiedział historię Donata i prosił o ratunek dla niego.

Roksana zasepiła się.

– To gorsza sprawa – rzekła. – Korynna mogłaby to zrobić bez trudu, ale ja, by znieść jej zaklęcie, musiałabym mieć jeszcze cztery smocze kły.

– Skądże je wziąć?! – wykrzyknął cyklop.

- Słyszałam o smoku żyjącym na pustyni – odezwała się Julia – ale trzeba by go zabić, żeby zdobyć te zęby.
- Gdzież jest ta pustynia?
- W trzy dni doszlibyście kierując się na południe od naszej góry. Zapadło milczenie.
- Belizariuszu, chyba spróbujemy, co? – szepnął Wiktoryn.
- Spróbujemy. Jutro rano wyruszamy na pustynię – zdecydował cyklop.

* * *

Po burzliwej nocy ranek wstał cichy, jasny, słoneczny. Z drugiej strony domu znajdował się ogród. Belizariusz zastał w nim Roksanę, która uszczęśliwiona biegała wśród kwiatów.

– Dotąd mogłam tylko oglądać te piękności z okna mego pokoju. Belizariuszu, będę czekała na ciebie tu, w tym domu. Wracaj z głową smoka. Życzę wam powodzenia.

– Dziękuję, pani. Zrobimy wszystko, co będzie możliwe. Chyba smok nas nie pożre? Żegnaj, dobra wróżko. Chodź, Wiktorynie.

Na dole Fabus powitał ich okrzykami radości:

– Jesteście! Żywi! Całe szczęście!

Ruszyli ku południowi opowiadając po drodze Fabusowi o wszystkim, co się wydarzyło w białym domu. Na trzeci dzień pod wieczór wkroczyli w kraj dziki, bezludny i niebawem stanęli na skraju pustyni. A następnego ranka zagłębili się w beskresne morze piasków. Jak znaleźć tu smoka? Można i rok błąkać się w tym pustkowiu, gdzie ani roślin, ani zwierząt nie widać.

A jednak, gdy byli już bardzo utrudzeni, zamajaczyła w oddali jakaś okazała budowla. Kiedy się zbliżyli, stwierdzili ze zdumieniem, że jej ściany, schody, a nawet wieżyczki są wzniesione z piasku!

– O, ja tam nie wejść – zastrzegł się Fabus. – To jest coś podejrzanego.

– Nie musisz – odparł Belizariusz. – Za to rozpal ognisko, widzę tu jakieś suche trawy i badyle, i zrób wieczerzę. A my zobaczymy co się tam w środku kryje. Może smok?

Schody, gdy szli po nich, niebezpiecznie się kruszyły, a drzwi całkiem rozsypały pod naporem dłoni. Znaleźli się w dużej wysokiej sali. Pośrodku tkwiły dwie kolumny podpierające dach. W rogu wisiała fałdzista kotara, na oknach firanki. Wszystko z piasku! Pod jedną z kolumn, na podłodze, siedział osobliwy jakiś człowiek: przeraźliwie chudy, wydawało się, że jest połamany, gdyż kolana i łokcie ostro wysterczały ze skulonej postaci. Chyba był głęboko zamyślony, bo miał zamknięte oczy i drapał się chudym palcem po kościstym nosie.

Jednak usłyszał szmer, podniósł głowę i spojrzał na przybyszy. Wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Nastąpiła przedziwna scena: w okamgnieniu

człowiek zerwał się z podłogi i wybuchnął przeraźliwym śmiechem. Śmiał się i śmiał, wymachując rękami i podskakując, a potem zaczął wykrzykiwać:

– Ach, co za dureń ze mnie, skończony półgłówek. Czy widzieliście gdziekolwiek, kiedykolwiek takiego głupca?! Na pewno nie. Jestem głupi jak jaszczurka. Mało! Jak pieczona gęś. Mało! Jak dardanelski osioł, jak połatany but! Mało! Jestem tępy jak muł. Muł zamulił mi mózg. Ot, co!!

Walił kulakami w swoją głowę i pierś, przy tym biegał po sali w podrygach, aż zatoczył się i oparł o ścianę, która natychmiast się zawaliła. Chudzielec nie przejął się tym; machnął ręką i piaskowa ściana znów powędrowała ku górze. To samo było z kotarą, odbudował też w mig rozsypaną firankę. Potem potknął się, upadł i rozwalił jednocześnie obie kolumny.

W powietrzu uniósł się tuman kurzu, bo i dach zaczął się sypać. Człowiek zerwał się, wykrzyczał kilka niezrozumiałych słów, potrząsnął rękami i wszystko wróciło na swoje miejsce.

Belizariusz i Wiktoryn stali całkiem oszołomieni, jak przygwożdżeni. Wreszcie dziwaczny mężczyzna uspokoił się. Stał przed nimi dysząc ze zmęczenia i rzekł:

– Ach, ach, zadziwiłem was, co? Kim jesteście?

Gdy się przedstawili, mówił dalej:

– Cieszę się, cieszę, że przyszliście. To zupełnie niebywały zbieg okoliczności – tu człowiek klepnął zamasyście Wiktoryna po plecach, a chłopcu wydało się, że zaraz rozsypie się, jak ta ściana.

– Jestem czarnoksiężnikiem – mówił dalej mężczyzna – chyba to zauważyliście. Piasek słucha mnie jak pies, z wodą jest gorzej. Siadajcie, siadajcie. Na podłodze, przynajmniej się nie zawali. Tak, tak, pozycja czarnoksiężnika, a nawet i życie moje zostały uratowane. Niech tam! Powiem wam, ale nie rozgłaszajcie po świecie, że spotkaliście czarownika, który miał hm, pewne trudności. Zgoda?

– Zgoda.

– Musiałem wykonać jedno zadanie. Myślałem, że raz–dwa się z tym uporem. Och, wiele rzeczy robię od ręki, ale tym razem musiałem sięgnąć do moich ksiąg tajemnych, by znaleźć odpowiednie zaklęcie. Ho, ho, tylko czarnoksiężnik może się połapać w gąszczu wszystkich tych zagadek i szarad, wśród których są utajone zaklęcia. Odgaduję je zawsze bez trudu, wszak tyle lat studiuję te księgi. No i co powiecie?

– To, że nie zdołałeś, panie, rozwiązać jakiejś zagadki! – wykrzyknął Wiktoryn.

– Tak! Oho, będą z ciebie ludzie, młodzieńcze! Może chcesz przystać do mnie na ucznia? Masz zadatki na świetnego czarnoksiężnika.

– Nie, panie, dziękuję, już mam mistrza, u którego uczę się rozumu i serca – Wiktoryn wskazał Belizariusza.

– Dobrze, dobrze, jak chcesz, ale nie wiesz, ile tracisz! – zaśmiał się czarnoksiężnik – Tak, tak – ciągnął – zabrakło mi do zaklęcia jednego tylko słowa. Było ono tak zaszyfrowane, że ja, największy mistrz, nie mogłem go od-

cyfrować. Pewien wielki pan, dla którego pracuję obiecał mi sowite wynagrodzenie, jeśli wykonam zadanie dziś do północy. W przeciwnym razie zentnie mi głowę, na co nawet ja, nawet ja! nic nie mógłbym poradzić. Co robić? Co robić? Wybudowałem sobie ten przybytek, by w ciszy rozmyślać. I to na nic.

– Jakaż to zagadka? – spytał Belizariusz.

– Ot, takie zdanie: “Jest półślepiec, lecz niepełny” i tak dalej, resztę rozwiązałem, ale nie mogłem sklecić całości. Jedno, jedno spojrzenie na ciebie, jednooki, uświadomiło mi bezmiar mojej niedoskonałości. Jak mogłem tak prostego hasła nie zrozumieć! Półślepiec – to cyklop! Bez “p”. Dasz “n” i jest cyklon. Tego właśnie było mi potrzeba. Zakłęcie się ułożyło. A więc, a więc, cyklopie, uratowałeś mnie samym swoim pojawianiem się tu i teraz. Wdzięcznym ci i może kiedyś ja na coś ci się przydam. Ale, ale, co właściwie robicie na pustyni?

– Szukamy smoka dla jego kłów, które są potrzebne jednej wróżce, by mogła odczarować pewnego nieszczęśnika.

– Smoka? Smoka!!! – wykrzyknął czarnoksiężnik – Ależ on niedaleko stąd ma swoją jamę wśród skał. Znajdziecie go bez trudu. Tylko dam wam przestrożę: nie atakujcie go pierwsi. A powiedz mi jednooki, dlaczego błąkasz się po świecie, ratujesz nieszczęśnika, walczysz ze smokami, zamiast żyć spokojnie wśród swoich cyklopów?

Belizariusz osłupiał.

– Są gdzieś na świecie cyklopi? – wyjąkał zdumiony.

– A jakże, a jakże, za morzem, całe miasto. Płyń się trzy miesiące okrętem, potem idzie się miesiąc lądem, ciągle tu zachodowi słońca. A mieszkają oni w żelaznych wieżach.

Gdyby Belizariusz stał, wiadomość ta powaliłaby go na ziemię, jak kolumnę piaskową. Na szczęście siedział.

– Skąd wiesz? – wyszeptał.

– Ot, ktoś mi kiedyś opowiadał i przysięgał, że to prawda. No, no, na mnie już czas. A co do smoka, pamiętaj, jednooki, byś fałszywego kroku nie zrobił.

– Nie zrobię. Zwykle wiem, gdzie mam postawić nogę – zaśmiał się Belizariusz.

– No, no – w głosie czarnoksiężnika było powątpiewanie.

Potem nagle zaczął się kręcić jak fryga, a piasek z podłogi wzbił się, owi-
nął dookoła niego upodobniając całą postać do ogromnego wrzeciona i w tej postaci czarnoksiężnik wyleciał przez okno, a następnie szybko zniknął im z oczu.

– Słyszałeś, Wiktorynie – powiedział Belizariusz. – Więc są gdzieś cyklopi.

– Pewnie zechcesz do nich dotrzeć? – odparł chłopiec.

– A czy jest dla mnie inne miejsce na świecie? Tam zostanę.

– Ale chyba odwiedziś rodziców, choć potajemnie. A nuż coś się w twym kraju zmieni? Bo wiesz, nie wiadomo jacy są ci cyklopi. Może to właśnie oni pozbyli się ciebie, gdy byłeś niemowlęciem?

– Masz rację. Wszystko jeszcze rozważę. A teraz chodźmy stąd.

Fabus czekał na nich z niepokojem.

– Co tam robiliście tak długo? Już chciałem iść wam na ratunek. O! Patrzcie! – wykrzyknął nagle.

Usłyszeli narastający szmer – to piasek osypywał się ze ścian i wież tak szybko, że zobaczyli wkrótce, jak cały zamek runął z hukiem i pozostał po nim tylko piaszczysty kopczyk.

Na drugi dzień istotnie, po krótkim marszu, ujrzeli skaliste zbocze, pagórki porośnięte obfitszą trawą i maleńką sadzawkę.

– Tu poczekamy – powiedział Belizariusz. – Smok z pewnością przyjdzie do wodopoju. Bądźmy na wszystko gotowi, ty, Wiktorynie ze swoim sztyltem, a ja z mieczem. Widzę, że i Fabus naostrzył swój długi nóż. We trójkę poradzimy sobie.

Belizariusz nie umiał wprawdzie władać białą bronią, ale przecież nie musiał się pojedynkować z kimś bardzo biegłym. Ufał, że jednym pchnięciem uśmierci zwierzę. Czekali dzień cały. Pod wieczór usłyszeli donośny ryk i parskanie. Fabus był blady jak ściana, ale trzymał się wyjątkowo dzielnie. Wreszcie spomiędzy skał wylazł ogromny potwór. Na szczęście miał tylko jedną głowę, ale za to olbrzymią i mnóstwo w niej zębów, które zademonstrował ziewając rozgłośnie.

Wzdłuż jego cielska aż do końca ogona przebiegał kolczasty grzebień, a z nozdrzy buchała para. Szedł niezdarnie kiwając się na boki, a dla utrzymania zachwianej chwilami równowagi, podpierał się długim ogonem.

– Straszny... – wyjąkał Fabus.

Smok, zobaczywszy ludzi, zbliżył się i kłapnął szczękami.

– Uwaga! – krzyknął Belizariusz. – Odsuńcie się, ale jeszcze nie atakujcie. Bądźcie w pogotowiu.

Tymczasem potwór, widocznie nie mając (przynajmniej na razie) morderczych zamiarów, przysiadł i uczynił coś zupełnie nieoczekiwanego i zadziwiającego: oto wysunął metrowej długości język i polizał każdego z nich.

– Próbuje, czy jesteśmy smaczni – wybełkotał drżący jak liść, Fabus. – Może już byśmy go zabili?

Zanim Belizariusz odpowiedział, potwór wstał, poczłapał między skały, by po chwili wrócić z królikiem w zębach, które to trofeum złożył u stóp Fabusa. Potem przyniósł jeszcze jednego królika i jeszcze jednego. Następnie usiadł podpierając się ogonem i zamruczał, jakby zabierał się do pogawędki.

Wiktoryn wyciągnął nieśmiało rękę i pogładził potwora po głowie, ale zaraz cofnął ją z bólu, bo ostre łuski i kolce poraniły mu palce. Smok był z tej pieśczoły jednak bardzo zadowolony, nawet oblizał się. Fabus przestał się trząść; odważnie rozpalił ognisko i upiekł króliki, po czym zgodnie spożyli je w towarzystwie smoka.

– Miły potworze – powiedział Belizariusz. – Masz tyle zębów. Czy mógłbyś podarować nam czterech z nich. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo są nam one potrzebne.

W odpowiedzi zwierz popatrzał na niego swymi wyłupiastymi oczyma, pokręcił nosem i kichnął wyrzucając z nozdrzy kłęby czarnego dymu. (Jak twierdził potem Fabus, również i ognia). Następnie smok wstał i odszedł z godnością do swej jamy.

– Nigdy w życiu nie widziałem takiego smoka! – wykrzyknął Fabus.

– Myślę, że żadnego nie widziałeś, mój bezręki – zaśmiał się Belizariusz. – Ja też. Mamy tylko wyobrażenie, że są to okrutne potwory. Nie zabijemy tego smoka.

– Och, mam nadzieję! – powiedział Wiktoryn. – Ale co robić?

– Oto Wiktorynie, stanęliśmy przed nowym problemem. Nie chcemy zabić tego potwora, ale musimy pomóc Donatowi. Co zatem zrobić? Lecz jest już noc, idźmy spać, a jutro się zastanowimy. Nowy dzień przynosi nowe pomysły.

Jednak Belizariusz nie spał. Leżał patrząc w jasno świecący okrągły księżyc i szukał pomysłów nie czekając nowego dnia. Wtem, na wysrebrzonym piasku pojawił się jakiś cień, jakby obłok czy kurzawa. Belizariusz śledził go z niepokojem. A cień to zawracał, to się zbliżał, aż dopadł do ich obozowiska. I nagle z chmury piasku wyskoczył znajomy czarnoksiężnik.

– Witaj, Belizariuszu – powiedział. – I cóż, zabiliście smoka?

– Przecież mówiłem, że nie zrobię fałszywego kroku – uśmiechnął się cyklop.

– No, no... – wyraził swoje uznanie czarnoksiężnik. – Za to dostaniesz to, czego potrzebujesz. Teraz dopiero ci powiem, że smok ten jest moim przyjacielem.

To rzekłszy pomknął między skały. Po niedługim czasie wrócił i położył przed Belizariuszem cztery kły.

– Wkrótce mu wyrosną nowe, więc nie martw się – powiedział.

Okręcił się na pięcie i w poszumie swego wrzeczona odleciał, ale w tej samej chwili dostrzegł go Fabus, który obudziwszy się wystawił oko spod opończy. Przerażony skoczył na równe nogi krzycząc przeraźliwie, czym obudził z kolei Wiktoryna.

– Panie! To Fortunatus! Fortunatus!! Straszny czarnoksiężnik, który odjął mi rękę. Uciekajmy! On gotów wrócić i zrobić coś strasznego! Ratujmy się...

– Ach, więc to jest ten sławny Fortunatus? – przerwał Belizariusz. – Miło mi było go poznać. To całkiem sympatyczny czarnoksiężnik. Kazał naszemu smokowi pozbyć się kłów. Oto one.

– Co za niespodzianka – ucieszył się Wiktoryn. – A więc problem jest rozwiązany.

– Tak, ale przy cudzej pomocy. Zaś w życiu trzeba najczęściej liczyć tylko na siebie.

– Ale czemu on to dla nas zrobił? – dopytywał Fabus.

– Chyba dlatego, że Belizariusz uratował mu onegdaj życie – odparł chłopak.

Bezręki zamilkł w poczuciu bezgranicznego podziwu dla cyklopa.

Rankiem ruszyli w drogę powrotną, którą odbyli szybko, mało śpiąc i odpoczywając. Był akurat wieczór, gdy zamajaczyła przed nimi Kamienna Góra. Biały dom pewnie stał na szczycie, owiany tego dnia różowo–perłowym blaskiem wieczornej zorzy, której ostatnie przesłanie tliło się jeszcze w wysokich oknach.

Julia przyjęła ich cała w uśmiechach, co bardziej licowało z jej postacią, niż poprzednia srogość. Roksana obejrzała zdobycz.

– Tak, to prawdziwe smocze kły – powiedziała uradowana. – Są rozwidłone i szerniałe po brzegach. Jeszcze tej nocy dokonam zaklęcia, a wy czekajcie na powrót Donata. jednak znów muszę cię o coś prosić, Belizariuszu. Nie pytam, w jaki sposób zdobyliście te kły, ale.. czy mógłbyś mi je odstąpić? Za jakiś cenny przedmiot, który sam sobie wybierzesz?

– Och, pani, niczego nie chcę! – zawołał Belizariusz. – Po cóż mi smocze zęby? Zatrzymaj je i niech ci służą w twych wróżbach. A teraz musimy się już pożegnać, czas nam w drogę. Bądź zawsze szczęśliwa, dobra wróżko!

– Żegnajcie i... dziękujemy obie z Julią.

Po wielu dniach wędrówki znowu znaleźli się w pałacu króla Justyna. Belizariusz spodziewał się, że zostaną tam do czasu przybycia Donata. Wszak cieszył się życzliwością króla, a nawet jego zainteresowaniem. Ale cóż za zmiana! Przyjęła go para królewska, a Belizariusz od razu wyczuł, że przysła cała łaska pańska. Justyn zapytał:

– Po co zjawiłeś się w naszym kraju?

– Przecież wiesz, miłościwy panie, nie robiłem z tego tajemnicy – odparł.

– Przyczyną jest sprawa Donata.

– To wymówka. A naprawdę?

– Nic ponad to, panie.

– Kłamiesz! – krzyknęła Estera. – Skąd przybyłeś?

– Z kraju króla Mirona.

– Więc może to król Miron posłał cię do nas?

– Nie! Po co?

– Chociażby po to, by się dowiedzieć, co się u nas dzieje. Czy nie tak, cyklopie?

– Przecież tu się nic nie dzieje – odparł zdziwiony – a ja nie jestem szpiegiem.

– A powiedz, czy czasem nie zamierzasz pozostać na stałe w naszym państwie?

– Nie, teraz już nie chcę, choć przyznam, cieszyła mnie twoja łaskawość, królu.

– Łaskawość! Wobec podrzutka!! – sarknęła Estera. – Nawet nie wiadomo, gdzie są twoi rodzice i kto to taki.

– Wiadomo – odparł spokojnie Belizariusz.

Zapadło milczenie. Estera była zmieszana.

– Kto? – zapytał cicho król.

– Cyklopi. Mają swoje miasto za morzem. Tam na pewno znajdę lepsze przyjęcie niż tu.

– A więc jedź do swych cyklopów – powiedziała ostro Estera. – A żebyś jak najprędzej opuścił nasz kraj, jutro o świcie dostaniesz pojazd, który zawiezie ciebie i twoich zauszników do portu. Możesz odejść.

Belizariusz był tak wzburzony, że wyszedł nie ukłoniwszy się. Udał się wprost do komnaty Kamili, która rozmawiała przez ten czas z Wiktorynem. Była uszczęśliwiona zapowiedzią rychłego powrotu Donata i wielce poruszona opowieścią chłopca o wszystkich ich przejściach w podróży, ale i ona wydawała się być zatroskana.

– Wchodźcie natychmiast – powiedziała. – Chcą cię zabić, Belizariuszu.

– Tak? – spytał zdumiony. – Królowa każe nam jutro rano wyjechać. Oboje z królem są bardzo rozsierzeni, nie wiem czemu. Pytania i zarzuty były tak mgliste, że nic z tego nie rozumiem.

– Dużą winę ponosi szambelan, który przekonał Esterę, iż niedobrym i fałszywym musi być człek o jednym oku i nawet nie wypada, by tu przebywał. Jest zły i głupi. Jak jest, tak jest. Uciekajcie nie czekając jutra, najlepiej zaraz, choć już wieczór.

– Znowu nie rozumiem, dlaczego szambelan występuje przeciwko mnie. Ledwie go znam.

– Widać ma jakieś swoje ukryte powody. Ale po co ci je znać? Odejdź i zapomnij o tym kraju. Na pewno znajdziesz ludzi, którzy cię docenią. Może to będą istotnie cyklopi? A teraz żegnaj, mój drogi Belizariuszu i ty, serdeczny chłopcze. Będę was miała zawsze w sercu i pamięci. Ach, gdyby ode mnie coś zależało! No, trudno, zbierajcie się.

Ale nie odeszli tej nocy, bo Fabus nie mógł się ruszyć. Powiedział niemal płacząc:

– Pójdę z wami na koniec świata, lecz nie teraz. Jestem okrutnie zmęczony i mam bąble na pięcie. Zostawcie mnie tutaj, jeśli tak wam spieszo, choć nie wiem, czemu znowu mamy gonić nocą.

– “Tego nie wiem” – pomyślał Belizariusz, ale powiedział:

– Nie zostawimy cię, Fabusie. Śpij, pojedziemy jutro.

– O, to rozumiem – westchnął bezręki i zapadł w sen.

Belizariusz też się ułożył, ale Wiktoryn czuwał całą noc z mieczem w dłoni, gotów do walki o życie cyklopa. Nic się jednak nie stało, choć ruch był w pałacu aż do rana.

A o świcie przyszedł po nich masztalerz, który miał ich odwieźć i przypilnować, by wypłynęli z portu. Rączy konie niosły szybko i już w południe stanęli nad brzegiem morza. Trudno było jednak dostać się na jakikolwiek statek. Ale od czegoś był Fabus – marynarz, który teraz dopiero poczuł się w swoim żywiole. Zaraz znalazł dawnych kompanów, zaokrętował się i wy-

prosił u kapitana miejsce dla swych przyjaciół. Jeszcze tego samego dnia opuścili nieprzyjazny im brzeg...

Rozdział czwarty

Nowe niespodzianki

Płynęli już drugi miesiąc. Przeżyli niejedną burzę i niejednen bezwietrzny dzień, kiedy puste żagle nie niosły swego ciężaru, aż którejs nocy zabrzmiał dzwon alarmowy, podrywając załogę i pasażerów. Cóż się okazało? Oto z otchłani nocy i mgieł wyłonił się przed nimi jakiś nieznany ląd. Nieznany, bowiem nie było go przedtem. Wszak okręt nie zboczył z kursu, który prowadził przez otwarte morze. Nie zdążono zwinąć żagli. Statek uderzył w skałę i osiadł na mieliźnie.

Rano pasażerowie dowiedzieli się, że muszą przepłynąć łodziami na ląd. Ogarnął wszystkich niepokój, a potem i przerażenie, gdy ujrzeli, że na brzegu oczekuje ich ogromny mężczyzna z wielką, rozwichrzoną czupryną, wymachujący szablą, co upodobiało go do zbója. Ale, jak się okazało, nie miał on żadnych złych zamiarów wobec podróżnych. Zanim jeszcze ludzie wysiedli z łodzi, człowiek ten wygłosił przemówienie głosem podobnym do gromu:

– Jestem tutaj kapitanem, a ta ziemia – to pływająca wyspa. Trzeba wam wiedzieć, że byłem całe życie Wielkim Piratem, dowodziłem setkami statków pirackich. Wspaniałe czasy! – tu westchnął. – Ale na starość zapragnąłem zaznać życia osiadłego, więc zamieszkałem z kompanami na pięknej wyspie i siedzę na niej dotąd. Lecz cóż się okazało?! Ta wyspa pływa!! Więc nie mogę za nic rozstrzygnąć, czy prowadzę życie osiadłe, czy nie? – tu wybuchnął gromkim śmiechem. – Mimo największych wysiłków, wspomaganych różnymi pomysłami i sztuczkami, nie zdołaliśmy zmusić jej, by stała w miejscu. Aż nareszcie, będąc głęboko zanurzoną, osiadła na mieliźnie. No i jest życie osiadłe.

– Ależ, panie – odezwał się kapitan uszkodzonego okrętu – to niebezpieczne. Twoja wyspa leży na uczęszczanym szlaku morskim! Trzeba ją jakoś stąd ściągnąć!

– Na szlaku morskim, powiadasz?! – wykrzyknął ex pirat. – Tym lepiej, będzie wesoło!! Wyspy ściągnąć się nie da, ale nie bójcie się, porządna burza ją spłucze. Widzę, że wasz statek nieźle sobie poharatał dziób. Niech więc cieśle naprawiają, a my tymczasem zabawimy się. Proszę, proszę do pałacu!

Z tymi słowy puścił szybkiego młynca szablą, więc nie wiadomo było, czy

jego zabawianie się miało polegać na ścinaniu głów gościom, czy na wspólnym ucztowaniu. Widząc wahanie ze strony przybyszów, odrzucił ze śmiechem swą broń. Wtedy ruszono za nim w głąb wyspy.

Nie uszli wiele, gdy z pomiędzy palm wyłoniła się duża, drewniana budowla, czy raczej buda, z krzywymi ściankami i zapadłym dachem. Przy narożniku sterczał wysoki maszt, na szczycie którego przyczepiona była jakaś flaga. Dawni piraci widać dobrze gospodarowali w tej niby osiadłej siedzibie, bo dookoła wałęsało się mnóstwo zwierząt domowych.

Torując sobie drogę pomiędzy prosiętami i baranami, władca wyspy wprowadził podróżnych do owej budy, która okazała się być zapowiedzianym pałacem. I rzeczywiście, jej wnętrze było pysznie i bogato urządzone, widać gromadziło w sobie cały dorobek życia gospodarzy.

Trzeba było tylko wypędzić kury, gęsi i indyki dumnie spacerujące po perskich dywanach, co odbyło się przy strasznym wrzasku, tak wypędzanych, jak i wypędzających, oraz wypchnąć upartego kozła, który zarył się kopytami w atlasową poduszkę.

Nikt nie mógł go stamtąd ruszyć, więc wyciągnięto poduszkę razem z kozłem za drzwi. Teraz brodaci ex piraci w mig zastawili stoły pieczonymi mięsiami, a dwaj z nich wzięli się do piscołek wydających przeraźliwe dźwięki – prawdziwie zbójcka przygrywka do uczyty.

Belizariusz od początku podróży ukrywał swe oko, więc i tu, w tym rozgardiaszu, nikt nie zwracał na niego uwagi. Jednak ktoś przysiadł się do niego i rzekł:

– Widzę, żeś osamotniony, panie. Współczuję ci w twym kalectwie, bo i ja jestem upośledzony, bo na wpół głuchy, a to za przyczyną odniesionej rany.

To mówiąc, odgarnął włosy.

– Och, tak! – wykrzyknął Wiktoryn. – Masz, panie, obcięte ucho i głęboką bliznę! Któż to uczynił?

– Jestem podróżnikiem, nazywam się Kasjan – podjął mężczyzna. – Zwiedziłem wiele krain, z wielu opresji wyszedłem cało. Aliści pewnego razu dopadli mnie łotrzykowie. Bronilem się mając przy sobie miecz, lecz w walce tej zostałem okaleczony i niechybnie życie bym stracił, gdyby nie nagła pomoc. Oto przygalopował na koniu młodzieńczyk jakiś w towarzystwie zbrojnych, którzy wnet rozgromili zgraję, kilku zbójów zabili, a mnie zawieźli do pałacu. Była to bowiem gwardia królewska, która na błoniach zaprawiała do szpady młodocianego księcia, następcę tronu. Wyleczyłem się i podziękowawszy pięknie królowi, odjechałem. Opowiadam o tym, gdyż nad wyraz smutne zakończenie miała ta historia, a dotyczyła też i mnie, jakbym ponosił część niezamierzonej winy za nieszczęście, które się stało.

– Ale cóż się stało?! – wykrzyknęli prawie jednocześnie Belizariusz i Wiktoryn.

– W parę lat po mej przygodzie spotkałem w podróży pewnego człeka, który właśnie opuścił tamto państwo. Powiedział mi, że jedyny następca tronu, ów wspaniały młodzieniaszek, nie żyje. Został zabity przez zbójców, jak

podejrzewają, tych samych, którzy ponieśli onegdajszą klęskę za przyczyną księcia, a teraz się mścili.

– W jakimże kraju to się wydarzyło? – spytał cyklop.

– W kraju króla Mirona.

– Co! Króla Mirona?! – wykrzyknął Belizariusz zrywając się z miejsca. – Więc księżę Lucjusz... To niemożliwe!

– Niestety, tak. To był królewicz Lucjusz – odparł podróżnik. – Czyżbyś go znał, panie?

– Pochodzę z kraju króla Mirona – powiedział Belizariusz, gdy trochę ochłonał z wrażenia. – Księcia nie znałem, nie, skądże, ale wiele, wiele o nim słyszałem od osób mu bliskich, jako o szlachetnym i świetnym młodzieńcu. Wszyscy go kochali. Co za nieszczęście, co za strata!

– Tak, tak, żal, żal! – westchnął Kasjan. – Odwiedzę w niedalekiej przyszłości króla Mirona, by wyrazić me głębokie współczucie i dowiedzieć się, czy złapano owych złoczyńców, których chętnie widziałbym w lochu. A teraz wybaczcie, ta wrzawa męczy moje chore ucho, idę spocząć.

To mówiąc oddalił się.

– Ach, Wiktorynie – odezwał się Belizariusz – bolesna to dla mnie wiadomość. Biedny młody księżę i cała z nim rodzina. Cioteczki moje pewnie ciągle płaczą. Ale co widzę, i ty masz mokre oczy.

– Chusta ci nawilgła od łez, Belizariuszu. Skoro ty płaczesz, ja też...

– Ach, mój kochany, wierny przyjacielu – wzruszył się jednooki. – Mam nadzieję, że kiedykolwiek dotrzemy do miasta cyklopów. Gdy się już tam urządzę, wyruszymy do kraju króla Mirona. Chcę choć jedną noc pobyc z moimi rodzicami, potem odejdę na zawsze, ale ty pragnąłeś służyć gdzieś na dworze. Na pewno dobrze ci będzie, gdy zostaniesz paziem lub giermkim u króla Mirona. Oddam cię pod opiekę moich najlepszych, troskliwych cioteczek.

– Tak, tak... – Wiktoryn pokiwał głową. – Dopóki można, będę przy tobie, a potem zobaczymy.

– Wracając do tej smutnej wieści – podjął Belizariusz. – Zastanawia mnie, jak mogło dojść do zabójstwa księcia. Nie było przy nim drużyny? Nikt go nie bronił?

– Zauważ, że wiadomość pochodzi z trzeciej ręki. Kto wie, co tam się stało naprawdę?

– Masz rację, Wiktorynie.

Podczas, gdy oni się smucili, huczna uczta trwała dalej. Zaś w nocy przybył jeszcze jeden okręt, który tak jak i pierwszy, osiadł na mieliźnie u wybrzeża wyspy. I tak z każdą nocą podróżnych przybywało, a z każdym dniem prosiat, kaczek, cieląt i innych zwierząt ubywało. Trzeba przyznać, że gospodarze, mimo swego “zaborczego” zawodu, nie byli skąpi i ofiarnie pracowali nad wykarmieniem czeready podróżnych. Przy tym sami dobrze się bawili pod wodzą swego kapitana, który nie żałował wina i miodu.

– Któregoś ranka wyskoczył na brzeg z rozbitej łodzi jakiś osobliwy mło-

dzian. Przede wszystkim odznaczał się czarnym ubiorem, na którym błyszcząły srebrne klamry i guzy. W ręce trzymał laseczkę, stąpał na palcach, a głowę zadzierał tak wysoko, że co rusz musiał poprawiać zsuwający się do tyłu czarny kapelusz. Fabus, gdy go zobaczył, zawołał:

– Ej, chłopie, my się skądciś znamy! Ale cóżeś za dziwadło z siebie zrobił i czemu chodzisz jak żuraw po błocie!

– Kto tak do mnie mówi? – spytał panek wyniośle. – Nie wiem ktoś jest, nie znam cię, bezręki.

– “Bezręki” rzekłeś – zaśmiał się Fabus. – A więc znasz nawet mój głos. Patrzcie, to Darek. Był kiedyś taki swojski i zacny, a teraz fanfaron się zrobił.

– Co też gadasz! – oburzył się młodzik. – Nie fanfaron żaden, lecz Dariusz, uczeń czarnoksiężnika Fortunatusa jestem. A tak chodzę, bo tu mokro. My nie lubimy wody.

Jednak opadł na pięty i ustawił głowę w normalnej pozycji. Wtedy dopiero zobaczył, że otacza go rozbawiony tłumek. Zmieszał się nieco, a ktoś zawołał:

– Skoro uczyłeś się czarów, spraw, by okręty zeszyły z mielizny.

– Nie mogę.

– Czemuż to?

– Bo tego jeszcze się nie nauczyłem.

– Więc co potrafisz?

Uczeń czarnoksiężnika zamyślił się głęboko. Wreszcie powiedział:

– Mógłbym stąd odlecieć i sprowadzić pomoc.

– Dobrze i to, dalejże! – ozwały się głosy.

– Ale nie mogę.

– Cóż znowu?

– Bo nie ma piasku, tylko mokra trawa, a potrzebowalbym dużo suchego piasku.

– Jest, jest cała wydma, tylko trochę dalej – odezwał się Wiktoryn. – Fortunatus rządzi piaskiem jak chce. Pokaż, Dariuszu, czego zdołałeś nauczyć się od swego mistrza.

Wszyscy ruszyli ku wydmom. Zarozumialec całkiem spuścił z tonu, zdradzając wyraźnie niepokój. Gdy przybyli na miejsce, Darek oddał laseczkę Fabusowi, przy czym zdziwił się wielce widząc, że “bezręki” nie jest bez ręki, lecz ma dwie całe i zdrowe ręce. Potem zamknął oczy i długo tkwił w wytężonym skupieniu. Wreszcie zaczął się okręcać podobnie jak Fortunatus, ale gdzie mu do mistrza! Jednak piasek owinał się dookoła jego osoby i uczeń czarnoksiężnika uniósł się w górę.

– Ooo!! – wyrwał się ze wszystkich ust okrzyk podziwu, który wszakże zaraz przeszedł w jękliwe:

– Aaach...

Bowiem lot nagle się skończył i niedoszły wybawca zaczął spadać. A ponieważ na prostej drodze ku ziemi stał maszt, biedak zawisł na jego szczy-

cie. Czarna peleryna wzduła się na wietrze i załopotała wraz z niewiadomo jaką flagą. Nieszczęśnik, trzymając się kurczowo drzewca, obracał się z powiewem jak kurek na dachu. Wołał pomocy i wymachiwał tak gwałtownie nogami, że jego czarne trzewiki ze srebrnymi kłami poleciały w tłum, który tymczasem przeniósł się pod maszt.

– Potrzebna by tu była drabina – ktoś się odezwał.

Ale okazało się, iż ex–piraci nie rozporządzali żadnymi drabinami. Nadbiegło kilku kapitanów wydając sprzeczne i niemożliwe do wykonania rozkazy. Wreszcie sprawa sama się rozwiązała w sposób zupełnie naturalny: maszt się zgiął i złożył swój ciężar na dachu kurnika. Stąd już łatwo zdjęto zemdlonego czarownika i ułożono w “pałacu” na poduszkach.

A tymczasem niebo zaczęło się chmurzyć, zadał wicher, wzburzyły się morskie fale. W niedługim czasie rozszalała się burza, zrobiło się ciemno, luła deszcz. Na wyspie powstało zamieszanie. Kapitanowie krzyczeli nawołując swych marynarzy i pasażerów, by wracali na statki.

Fabus, szukając Belizariusza i Wiktoryna, wpadł do “pałacu”. Sala była pusta, tylko pośrodku leżał Darek i cicho jęczał z bólu. Był cały potłuczony i pokrwawiony. Fabus, nie namyślając się wiele chwycił go na ręce i pobiegł ku nabrzeżu.

– Dziękuję ci, Fabusie – szepnął chłopak. – Już nie chcę być czarnoksiężnikiem. Weź mnie ze sobą, nie odtrącaj. Będę pracować razem z tobą.

– Dobrze, Darku, dobrze, przyłączysz się do nas – odparł Fabus.

Mimo panującego zamętu i tłoku udało mu się dostać wraz z Darkiem do łodzi, a potem na statek, który zaraz, pchany falą zszedł z mielizny i zaczął oddalać się od wyspy. Ale Belizariusz i Wiktoryn nie zdążyli, i teraz stali bezradnie na brzegu. Fabus dojrawszy ich wpadł w rozpacz. Przechylił się przez burtę, a chcąc przekrzyczeć huk morza, wrzeszczał ile sił:

– Nie opuszczajcie mnie! Przyplyniecie!! Chcę być z wami!! Z wami!!!

Lecz już nie było na plaży żadnej łodzi. Wówczas Fabus skoczył do morza. Usiłował płynąć ku wyspie. Niechybnie utonąłby, gdyby marynarze w czas nie wyłowili go i nie wciągnęli na statek. Wtedy to Belizariusz i Wiktoryn widzieli po raz ostatni swego poczciwego i wiernego towarzysza podróży. Pozostali, tak jak i kilku innych zapóźnionych podróżnych, na wyspie.

– Nie martwcie się – pocieszał ich kapitan byłych piratów. – Przybędą nowe żaglowce, znajdzie się coś i dla was. Tymczasem chodźcie na wieczerzę.

Ale nie poszli, bo nagle ziemia pod ich stopami zaczęła drżeć i chybotać się.

– Cóż to? Czyżby moja wyspa...

Gwałtowny wstrząs powalił ich z nóg, potem drugi, trzeci i czwarty, aż na koniec uczyli łagodne kołysanie.

– Ruszyła!! – zakrzyknął kapitan. – Zeszła z mielizny!

I tak popłynęli tym najdziwniejszym w świecie statkiem, a raczej podryfowali z wiatrem i falą ku zachodowi. Wiele dni minęło, zanim dostrzeżono

ziemię. Usłudni piraci przewieźli tratwę pasażerów na stały ląd i tam ich pożegnali. Potem każdy ruszył w swoją stronę.

Belizariusz i Wiktoryn poszli tak, jak zalecał Fortunatus, na zachód. Po drodze rozpytywali ludzi o miasto cyklopów. Przeważnie śmiano się z nich lub wzruszano ramionami, ale znaleźli się i tacy, którzy coś tam słyszeli o jakichś jednookich ludziach żyjących gdzieś bardzo, bardzo daleko, jakoby w wieżach. Więc szli dalej i dalej. W miarę jak zapuszczali się w głąb tej krainy, napotykali coraz to mniej osiedli ludzkich.

Pewnego dnia przybyli do małej wioseczki, która zdawała się być na krańcu zamieszkałych ziem, bowiem dalej rozciągała się już tylko dzika, pustynna okolica. Napotkany przy studziennym żurawiu staruszek chętnie podjął z nimi rozmowę o cyklopach.

– Są, są – powiedział. – O, widzicie hen w dalekiej dali siwe góry? Aleć nikt się nie kwapi ku tym góróm zapuszczać, a i wam nie radzę, bo droga przez bezdroże i step szeroki wiedzie, a na stepie straszno, oj, jak straszno! Powiadają: upiory jakoweś w jamach się lęgną i w trawach tańczą, a chichotem i świstaniem ludziom rozum odbierają. Tak tedy po prawdzie i nie wiemy jakie te cyklopy są i jaki żywot het tam wiodą.

Staruszek oddalił się, a oni skierowali się w stronę odległych gór

Rozdział piąty

Góry i wieże

Spokojnie przebyli całą drogę i już następnego dnia znaleźli się u podnóża gór. Dzień miał się ku końcowi. Belizariusz, podniecony i niecierpliwy, chciał jak najszybciej dotrzeć do celu. Przez całą drogę wyobrażał sobie jakie będzie jego spotkanie z pobratymcami, jak go przyjmą i czy znajdzie wśród nich miejsce dla siebie. Aliści dnia tego nie posunęli się dalej, bowiem Wiktoryn nagle zasnął. Błady i spocony legł na ziemi nie mogąc się ruszyć. Belizariusz przeraził się.

– Ach, moja to wina – mówił. – Jesteś słabszy ode mnie, wyczerpały się twe siły, jak mogłem o tym nie pomyśleć!

Lecz nie było to tylko wyczerpanie, a ciężka choroba. Belizariusz, szukając jakiegoś schronienia znalazł starą, opuszczoną szopę, którą zostawili zapewne jacyś wędrowni pasterze. W środku było trochę siana. Zrobiwszy jakieś takie posłanie, Belizariusz ułożył na nim troskliwie chłopca i przykrył go opończą. Wiktoryn był rozpalony gorączką, jednocześnie drżał na całym ciele. Skarżył się na ból głowy, coś szeptał, przyzywał Belizariusza.

– Jestem, braciszku, jestem – mówił cyklop tuląc do siebie chłopca.

Widząc jego suche, spękane wargi, pobiegł szukać wody. Było już ciemno, ale na szczęście znalazł sadzawkę. Gdy przyniósł wodę Wiktoryn pił ją chciwie, a potem uspokoił się. Jednak w nocy jego stan znacznie się pogorszył. Chłopiec zaczął majaczyć w gorączce. Czegoś bał się, krzyczał, nie można było zrozumieć bełkotliwych słów, jednak wyraźniej wymówił słowa “marszałek”, “Kamila”, “precz”, a potem krzyczał: “To nieprawda! Nieprawda!!”.

Belizariusz był zrozpaczony i zupełnie bezradny. A tu nagle zaczął padać ulewny deszcz. Poprzez stary, dziurawy dach popłynęły strugi wody. Wkrótce nie było suchej piędzi w całej szopie. Belizariusz wpadł w panikę. “Co robić?, co robić? – latało mu po głowie. – On może umrzeć. Ale przecież są w górach ONI, trzeba się tam dostać.”

Wziął Wiktoryna na ręce, otulił jak mógł i wyszedł w ciemność i deszcz. Drżąc o życie przyjaciela biegł, potem wspinał się po zboczach, wiedzieć skąd miał tyle sił, by pokonywać turnie, przełęcz i wąwozy. A przecież nawet nie wiedział gdzie żyją cyklopi, może o wiele mil stąd na północ, lub na południe...

Szedł na oślep z jedną tylko myślą, by ratować Wiktoryna. A chłopiec po-

padł w sen, może omdlenie, oddychał szybko, a potem wydało się Belizariuszowi, że nie oddycha wcale. Przycisnął go do piersi i nie uczył bicia jego serca.

– Wiktorynie, Wiktorynie! – wołał. Ala głowa chłopca opadła i nie było odpowiedzi.

– Och, nie umieraj, nie umieraj!! – krzyczał cyklop w noc chmurną i bezlitosną.

I szedł uparcie dalej w strugach deszczu niosąc bezwładne ciało. A potem zdał sobie sprawę, że się nie wspina, lecz schodzi z boczem w dół. Pędzące chmury czasem odsłaniały na moment zamglony sierp księżyca.

W takiej właśnie chwili, w sinym półmroku, Belizariusz dojrzał ścieżkę prowadzącą przez las. Starał się jej trzymać. Teraz biegł nieomal, choć obijał się o pnie. Nagle stanął jak wryty. Wydało mu się, że gdzieś daleko zabrzmiał jakiś brzęk, czy stuk, więc znów przyspieszył kroku.

Możliwe, że ścieżka prowadziła rzeczywiście do osiedla, bo dźwięk się powtórzył. Znowu mignął mdły poblask księżyca i Belizariusz wydał straszny krzyk. Zamajaczyła przed nim wieża. Żelazna wieża. A dalej druga, trzecia i czwarta. Drzwi pierwszej były uchylone. Belizariusz wszedł w ciemne wnętrze.

Zaczął coś mówić, ale nie było odpowiedzi. Zorientował się, że jest pusta. Położył więc Wiktoryna na jakimś posłaniu, wyszedł, lecz nic nie widział, znów była tylko czarna noc i deszcz. Zaczął więc wołać pomocy. Krzyczał i posuwał się naprzód wyciągając ręce. Wtem ujrzał migające gdzieś w zaroślach światelko. Ktoś szedł z latarnią w ręku.

– Tutaj, tutaj! – wołał ochryłym głosem Belizariusz idąc naprzeciw.

Człowiek zbliżył się, ale potknął i latarnia wypadła mu z ręki. Schylił się, aby ją podnieść i wtedy Belizariusz dostrzegł jego twarz.

– Nie!! Nie!! – wrzasnął nieswoim głosem. – To niemożliwe! Niemożliwe!!!

– Co ci jest, panie – spytał mężczyzna prostując się. Uniósł wysoko latarnię. Teraz, ujrawszy twarz Belizariusza i on krzyknął: – Och!!

Patrzyli na siebie w osłupieniu.

– Skąd, dlaczego tu jesteś? – wybełkotał cyklop.

– Co z tobą? – pytał z niepokojem mężczyzna.

– Nie rozumiem, och, chyba śnię! A może wiedziałeś, że tu przybędę i dlatego przyszedłeś do tej krainy?

– Przecież jestem u siebie!

– U siebie! Więc gdzie ja jestem?! – wykrzyknął cyklop.

– Belizariuszu, mój synu, mój ukochany synu, ciesz się, że wróciłeś. Aleś ty chory, bardzo chory. Chodź do domu.

– Ach, ojcie – załkał Belizariusz i rzucił się w objęcia Mateusza – To wstrząsające, ale chyba już rozumiem. Tak, wróciłem wcale o tym nie wiedząc. I jestem zdrow. Teraz trzeba natychmiast ratować Wiktoryna.

– Kogo?

– Wiktoryna. To mój druh, który przyłączył się do mnie i towarzyszył mi w wędrówce. A teraz jest śmiertelnie chory. Przyniosłem go i ułożyłem w wieży. Prędeż, ojczy – mówił pośpiesznie cyklop.

Mateusz wszedł za nim do wieży. Oświecił leżącą postać. Teraz on wydał okrzyk ni to zdumienia, ni to przestachu:

– Belizariuszu, kto to jest?!

– Mówiłem, Wiktoryn, który...

– Nie, nie!! Powiedz, kto? Gdzie go znalazłeś?

– Ależ ojczy, w rzeczy samej to on mnie znalazł, pomógł, sam chciał być mi towarzyszem w podróży. Jest chłopcem ze wsi, ale jakże wspaniałym, nazywa się Wik...

– Co mówisz, synu! – przerwał Mateusz. – To nie jest jakiś tam chłopiec i nie nazywa się Wiktoryn.

– Jak to??!! Skąd ta myśl?

– To nasz królewicz, książę Lucjusz! Nieś go czym prędzej do chaty.

Belizariusz, na wpół przytomny wziął chłopca na ręce.

– Ależ, ojczy – mówił idąc śpiesznie wśród dębów, których grube pnie wziął w ciemnościach za wieże – jak możesz mówić takie rzeczy? To niedorzeczność, głupstwo. Może Wiktoryn jest tylko podobny do księcia, a może ty mój ojciec straciłeś pamięć, albo wzrok? Czy jesteś zdrow? Wybacz, ale to co mówisz jest bezrozumne, jest szaleństwem!

– Wiem, wiem, mój synu. To szaleństwo i sam nic nie rozumiem. Idę po siostry królewskie, one będą wiedziały.

Belizariusz wszedł do swego rodzinnego domu, gdzie czekała Marcela sądząc, że to jakiś zbłąkany człek wołał pomocy.

– Belizariuszu, synku!! – wykrzyknęła uszczęśliwiona. – Wróciłeś!! Wróciłeś! A kogóż to niesiesz?

– Wiktoryna, mego chorego przyjaciela – powiedział Belizariusz, układając chłopca na łożu. – Trzeba mu pomóc, ja nie umiem.

Wtem usłyszał brzęk. To stłukł się garnek z mlekiem, który Marcela wypuściła z rąk na widok Wiktoryna, jak ongiś na widok małego Belizariusza.

– Wielki Boże! – krzyknęła. – To królewicz Lucjusz!

– Ależ matko, królewicz przecież nie żyje, został zabity.

– Ano prawda, był nieżywy, więc pewnie zmartwychwstał, choć nie całym, bo chory bardzo.

Zaczęła żywo krzątać się, a Belizariusz usiadł i zamyślił głęboko. “Tak, tak – mówił sobie – nie ma miasta cyklopów. Jeden jest tylko cyklop na świecie – to ja; i jedna żelazna wieża – moja wieża, która wyrosła razem ze mną. Wieść po świecie poszła, że jest cyklop w wieży z żelaza, a gdy jeden drugiemu tę wieść podawał, wyrosła ona ponad miarę. A przecież są prawdziwe tajemnice, których nikt mi odkryć nie może”.

Już świtało, gdy przybyły w pośpiechu zdyszane cioteczki. Uradowane ścisnęły i całowały Belizariusza, który wyszedł im naprzeciw. Potem pobiegły wraz z wezwanym medykiem do łoża Wiktoryna.

– Lucjusz!! – wykrzyknęły obie naraz.

– Niemożliwe – rzekł Belizariusz. – Przecież on sam mi powiedział, że jest wiejskim chłopcem i zwie się Wiktoryn. Wszak Lucjusz nie żyje, mówił nam o tym Kasjan, którego spot...

– Nie, Belizariuszu, nie ma wątpliwości – przerwała Oktawia kategorycznym tonem. – Poznaję go. Jakimś cudem został nam przywrócony, choć nie wiadomo jak to się wszystko stało. Mogę tylko snuć domysły.

Belizariusz nadal nie mógł uwierzyć. Tymczasem medyk już zbadał chorego. Orzekł, że chłopiec będzie żył, choć teraz jest nieprzytomny.

– Och, co za szczęście, co za szczęście – powtarzała Kornelia ocierając oczy.

Niebawem przyjechała na koniu królowa, zbiegli się dworzanie, przyniesiono lektykę, by zabrać chorego do pałacu. Zrobiło się zamieszanie. Belizariusz osamotniony i smutny usunął się do swej wieży. Nie miał pobratymców, stracił przyjaciela, w domu nie mógł pozostać. “Cieszę się, że ożył Lucjusz, lecz smucę, iż umarł Wiktoryn. Pójdę znowu w świat, ale teraz będzie mi o wiele smutniej i będę jeszcze bardziej samotny, gdy poznałem co to jest prawdziwa przyjaźń”.

To wstrząsające i niezwykle przeżycia ostatniej nocy podsunęły Belizariuszowi te bolesne myśli. Istotnie, zajęto się najpierw Lucjuszem, wszak był bliski śmierci i każdy chciał być pomocny przy ratowaniu jego życia. Ale nie zapomniano i o cyklopie. Cioteczki nie pozwoliły mu opuszczać domu, bowiem były pewne, że król przyjmie go łaskawie.

Rozdział szósty

Aleksander

Na trzeci dzień książę Lucjusz odzyskał przytomność, co uczczono fanfarami, a na czwarty mógł już mówić. Świętowała to wydarzenie nie tylko rodzina królewska, ale i cały naród. A potem zaproszono Belizariusza do pałacu. Poszedł, lecz nie wiedział jak ma się zachować. Ukląkł przed królem, a ten uścisnął go i powiedział:

– Niesłusznie postąpiliśmy z tobą. Wybacz i przyjmij nasze serdeczne podziękowanie za przywrócenie nam syna. Chodźmy do niego, on pragnie cię widzieć.

Lucjusz był blady i mizerny, ale uradował się na widok cyklopa.

– Książę... – powiedział Belizariusz kłaniając się nisko.

– Belizariuszu! – wykrzyknął chłopiec – proszę, proszę, nie zwracaj się tak do mnie i nie kłaniaj! Mów, jak zawsze, po imieniu!

– Dobrze, książę – odparł cyklop i obaj roześmiali się mając w pamięci odwrotną sytuację.

W komnacie zebrał się cały dwór, a także przyprowadzono Marcelę i Mateusza.

– A teraz opowiadaj, synu, tak, jak obiecałeś – rzekł król.

– Poznałem Belizariusza – rozpoczął Lucjusz – gdy miałem dziesięć lat szukając cioteczek, które poszły w góry. Zobaczyłem, że weszły do zagrody Mateusza. Nikt mnie nie widział ani wtedy, ani potem, gdy wielokrotnie, chowając się w zaroślach, obserwowałem Belizariusza, który bardzo mnie ciekawił. Trwało to lat kilka. Poznałem, że jest rozumny i dobry. Toteż byłem ogromnie wzburzony usłyszawszy, iż został skazany na wygnanie. Pomyślałem, że będzie mu trudno, bardzo trudno przeżyć wśród obcych ludzi, że może nawet zginąć. Postanowiłem więc jakoś mu pomóc, bo polubiłem go szczerze i czułem się też odpowiedzialny za krzywdę, która go spotkała. Napisałem list do rodziców, by się nie martwili, bowiem wrócę za rok. Zostawiłem go w mym pokoju, widać zaginął.

– Ooo!! – przerwał mu okrzyk wydany przez ochmistrza – to moja wina, moja wina! Widząc jakiś list, włożyłem go do szkatułki na listy, nie przeczuwając....

– Stało się, nie rozpaczaj – uśmiechnął się Lucjusz. – Przebrałem się za kmiotka, a swoje ubranie schowałem pod krzakiem. Gdy je znaleziono,

uznano, iż zostałem zabity. Po tygodniu wędrówki odnalazłem Belizariusza skazanego dożywotnio na loch, więc...

– To ty mnie wykupiłeś, Wikt... Lucjuszu – wtrącił Belizariusz – i od spalenia na stosie też...

– Tak. Przeczuwając, iż będą potrzebne, zabrałem ze sobą swoje oszczędności, których miałem sporo. Z królem Mariuszem poszło gładko, ale ten ponury halabardnik – twój oprawca – to był twardy chłop, ledwie sobie z nim poradziłem.

Teraz Lucjusz opowiedział wszystkim szczegółowo o Donacie, Korynnie i Roksanie, i o całej długiej podróży.

– Ale jest jeszcze jedna wielka tajemnica, którą odkryła przede mną Kamila – mówił dalej. – Strzegła jej przez całe życie, strzegła jej też przed Belizariuszem.

– Przede mną? – zdumiał się cyklop.

– Tak, ale teraz mogę ją już wyjawić, bowiem tutaj nic mu nie grozi. Otóż... – tu zawiesił głos – Belizariusz jest synem Korynny i Justyna I.

Podniosły się okrzyki zadziwienia, zdumienia, niewiary. Belizariusz osłupiał, wieść ta przygniotła go. Wydało mu się, że nagle znalazł się w jakimś nierzeczywistym, dziwnym świecie.

– Jesteście ciekawi skąd się on wziął w naszym państwie? – ciągnął Lucjusz. – Stało się to tak: Justyn był na wojnie, gdy urodził się cyklop. Przeżona Korynna wywiozła go cichaczem, przy pomocy Kamili, z grodu chcąc komuś oddać dziecko. Ale ciężko zachorowała. Wtedy okazało się, że zaginął klucz od czarodziejskiej szkatułki i Korynna nie mogła z niej skorzystać, by uratować sobie życie. Umarła, lecz przed śmiercią zobowiązała Kamilę do zachowania przed królem tajemnicy istnienia jego syna. Kamila powiedziała wszystkim, że chłopczyk zmarł razem z matką, a w rzeczywistości oddała go jakimś przejezdnym ludziom, którzy potem porzucili dziecko w lesie, skąd zabrały je moje cioteczki. Resztę wiecie. Kamila znalazła przypadkiem klucz, ale był już bezużyteczny (nie wiedziała, że przydałby się Roksanie), więc włożyła go do skrzynki niemowlęcia. Chyba to ten czarodziejski klucz sprawił, że skrzynka zamieniła się w żelazną więź i służyła dziecku za schronienie. Belizariusz znalazł kiedyś ten, zdawałoby się nic nieznaczący, zniszczony klucz, a mając go przy sobie z łatwością otworzył szkatułkę Roksany. Było to wtedy dla nas niezrozumiałe i zdumiewające, bo nawet Roksana nie poznała swego klucza.

Tu Lucjusz zamilkł zmęczony długą przemową. Chwilę odpoczął i tak mówił dalej:

– Szambelan Justyna II nabrał podejrzania, iż Belizariusz jest tym zaginionym dzieckiem, bowiem przed laty była jakaś pogłoska o urodzonym przez Korynnę odmieńcu, z którym nie wiadomo co się stało. Zresztą wszyscy o tym dawno zapomnieli. Jednak szambelan przekonał Justyna i Esterę, że trzeba pozbyć się cyklopa, aby oddalić groźbę utraty tronu na jego rzecz.

Dlatego to ukrywaliśmy przed Belizariuszem prawdę, bo gdyby zdradził się mimowolnie, iż wie, jakie ma tu prawa, niechybnie pozbawiono by go życia. Mówię ciągle “Belizariusz”, ale prawdziwe jego imię jest inne...

Nastała cisza.

– Jakie? – spytał król.

– Aleksander.

– Piękne imię – powiedziała królowa.

– A teraz – podjął znów Lucjusz – powiedz mi, Aleksandrze, czy chcesz ubiegać się o swe prawowite dziedzictwo i tron? Nie wątpię, że ojciec mój pomógłby ci, nawet gdyby trzeba było wystąpić zbrojnie.

Wszyscy wpatrzyli się w cyklopa. Lecz ten wydawał się nie rozumieć, że to do niego jest skierowane pytanie. Rozejrzał się bezradnie po sali. Lucjusz wziął go za rękę i powtórzył pytanie.

– Jestem Belizariusz – powiedział wreszcie oszołomiony cyklop – niech wszyscy wiedzą, że jestem Belizariusz, że tutaj mam rodzinę, dom, przyjaciela i moją żelazną wieżę. Tutaj chcę zostać na zawsze, jeśli królowa i król mi pozwolą.

Zerwały się oklaski. Marcela, Mateusz, Oktawia i Kornelia płakali ze wzruszenia, Lucjusz uradowany ścisnął cyklopa, a królowa uśmiechała się do męża.

Nagle wszyscy zamarli. Z wieży dobiegł trwoźny głos trąbki. To strażę dawały znać, iż dostrzegły w dali obcych jeźdźców. Zaraz rotmistrz wybiegł z sali, by sprawić swój oddział gdyż mógł to być zarówno gość niespodziewany, jak i wróg napastliwy. Król powstał wydając odpowiednie rozkazy. Czekano w napięciu. I oto znów usłyszano trąbkę, lecz tym razem zagrała ona wesołą nutę. Jakoż był to gość mile widziany.

Rozwarły się podwoje i do sali wkroczył... Lucjusz poderwał się na łożu, Belizariusz wydał okrzyk i odruchowo zasłonił twarz. Gość patrzył oniemiały na księcia, lecz wnet spostrzegł swój nietakt i pokłonił się nisko parze królewskiej.

– Witaj, panie Kasjanie – powiedział król. – Cieszę się, iż widzę cię w dobrym zdrowiu. Poznaj syna naszego, Lucjusza, który był zaginiony, a teraz cudem niemal został nam zwrócony. A stało się to dzięki pewnemu dzielnemu człowiekowi.

Kasjan ukłonił się księciu wyraźnie zmieszany.

– I do mnie dotarła wieść, że syn twój, królu, został zabity. I ja płakałem z żalu – powiedział. – Jakże się cieszę, że żyje, choć, jak widzę, jest chory. To przecież on uratował mi niegdyś życie, choć był prawie dzieckiem jeszcze.

Widać było, iż Kasjan powściąga się od pytań, których nie wypadało zadawać. Niby poznawał w księciu owego ubogiego chłopca, który wspierał swego ślepego pana, lecz jakże by to było możliwe?!

Nie mylisz się, panie – powiedział Lucjusz, widząc rozterkę gościa. –

A oto i Belizariusz, niewidomy pan, a mój najlepszy przyjaciel. Tak, tak, nas to widziałeś na pływającej wyspie.

– Jakże to, jak... – jękał Kasjan.

– Wkrótce wszystko zrozumiesz – zapewnił go król.

Opowieści i rozmowy trwały do wieczora. A przy uczcie, w której już i Lucjusz mógł uczestniczyć, Kasjan, słysząc wzmiankę o królu Justynie, przypomniał sobie pewne zdarzenie. Otóż spotkał kiedyś jakiegoś dziwnego człowieka. Mężczyzna ten, nad wyraz wychudzony i wynędzniały, biegł środkiem drogi, lecz ślaniał się i padał, zrywał się i znów gonił, jakby ostatek sił Kasjan wziął go do powozu, którym wtenczas jechał.

Nieznajomy wyszeptał tylko podziękowanie i zaraz zapadł w sen. W nocy się ożywił, powiedział, że dąży do państwa króla Justyna, a gdy dowiedział się, iż stoją właśnie na granicy tego królestwa, zerwał się znów do biegu.

– Namawiałem go, by został do rana – mówił Kasjan – lecz nic nie pomogło. Pomknął w ciemność, wymienił tylko na odchodnym swe imię... Nazywał się...

– Donat! – wykrzyknęli jednocześnie Lucjusz i Belizariusz.

– Skądże znane jest wam jego imię?... – zająknął się znów zdumiony gość.

– Jak dobrze, panie, że opowiedziałeś nam o tym spotkaniu – rzekł Lucjusz. – Z twego opisu domyśliliśmy się, iż był to nasz biedny przyjaciel, który przez dwadzieścia lat dźwigał brzemię czaru nałożonego nań przez złość ludzką. Staraliśmy się mu pomóc i oto dowiadujemy się z radością, że wrócił on między ludzi i jest już w swej ojczyźnie. Byłeś, panie, nie wiedząc o tym, świadkiem tego wielkiego wydarzenia.

Tu Lucjusz opowiedział pokrótce Kasjanowi dzieje Donata i jego wiernej narzeczonej, Kamili.

Zaczęto wznosić toasty za pomyślność tej pary, zaś Belizariusz, nachylając się do Lucjusza, szepnął:

– A nasze szczęście jest jeszcze pełniejsze, gdy wiemy, że i inni mogą się podobnie radować, prawda?

K o n i e c